

WIDNOKRĄC

TYGODNIK KULTURALNY



Zofia Słapor

poszukiwanie

każdy krok
jak bitym nożem
rozszepia ciszę

smak krwi
na spękanych kamieniach
drewniane żarna
języka

krzak głodu
we mnie
stał miłośnika
aż po rękojeść
w bierwionach
wrót zamkniętych

Kamień

Jest zimny i gładki. W dotyku chłodzi skórę. Nigdy nie przerywa, gdy mu opowiadam — umie słuchać. Czasem jednak przeskadza mi jego milczenie.

Przychodzę tu często, wiem, że zawsze go zastanę. Nie przyznaje się, że czeka na mnie, lecz jest, ile razy przyjdę.

Tylko jemu śpiewam swoje piosenki. Nasze sylwetki odbite w wodzie drżą jak ze wzruszenia, lecz, gdy odwrócę głowę, jest taki jak zawsze.

Raz tylko, gdy mu powiedziałam, że nie mam nikogo poza nim, wydawało mi się, że coś w nim drgnęło.

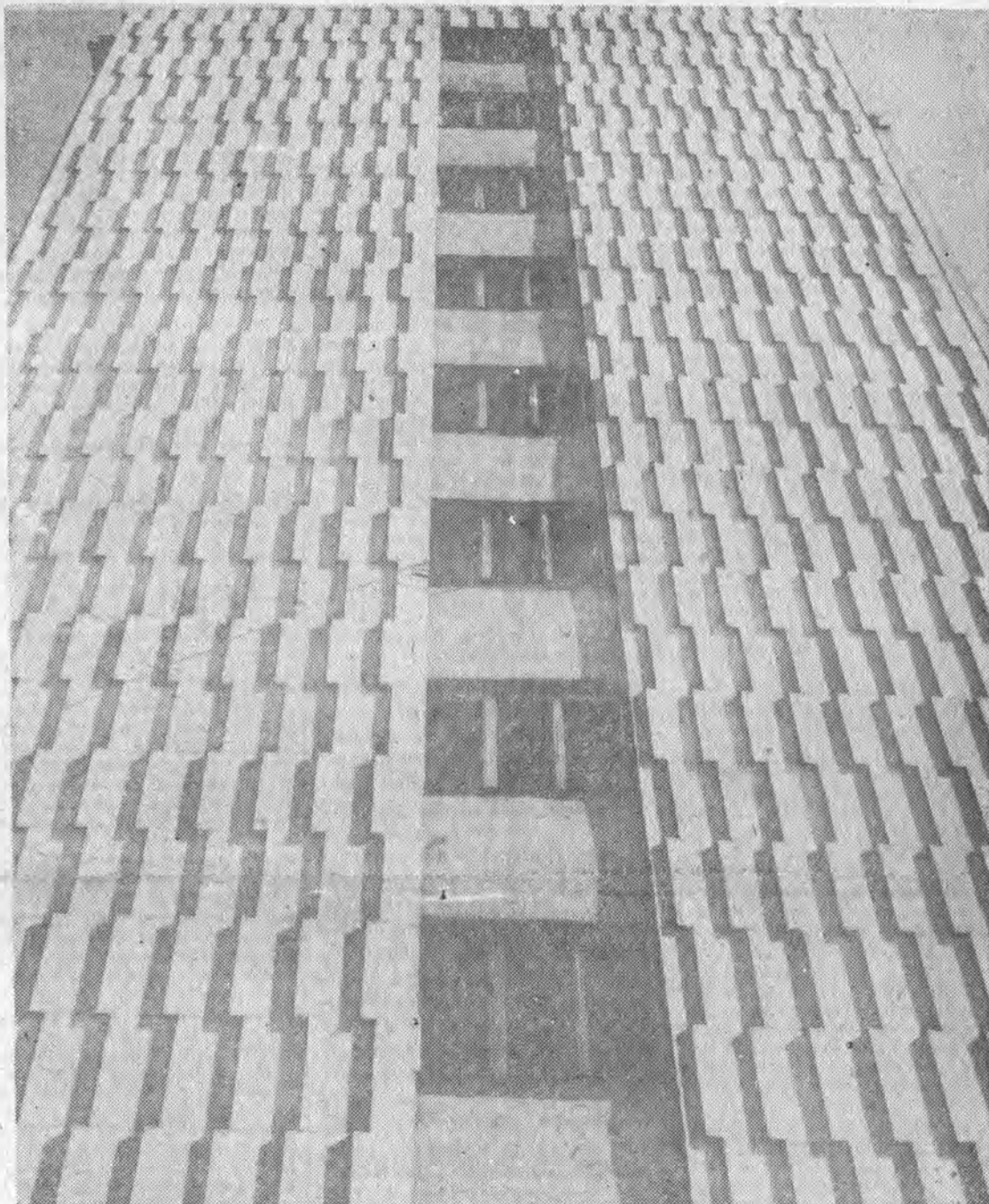
Szybko zanurzyłam w wodzie palce, dwie małe rybki zaczęły tańczyć wokół małego paznokcia. Były bezpieczne w zasięgu mojej ręki, ostrożnie wpływały do klatki palców.

Dzisiaj słońce łagodnie dotyka skóry. Myślę, że on lubi je także. Jest przyjazny w ruchomej mozaice cieni. Chce dodać mi odwagi. Jest mi potrzebny, on, jego spokój wobec wszystkiego.

Nie byłem tu długo. Jest zimno, wiatr szarpie za włosy.

Na próżno staram się wyjaśnić co się stało: Zbyt wiele słów wzbiera w gardle. Bezdłowny szep, zmieszany z kroplami deszczu gubi się w szumie wiatru.

Nie chcę już wyjaśniać niczego. Nasze milczenie jest pełne napięcia.



ARCHITEKTURA

CAF UCHYMIAK

Gdyby ktoś zechciał podjąć trud zebrania materiałów o wkładzie do wysiłku polskiego w walce przeciw hitleryzmowi ludzi wywodzących się z ziem naszego województwa, ten musiałby sięgnąć do historii wszystkich ważniejszych kampanii i bitew frontowych oraz akcji partyzanckich minionej wojny. Znalazłby tam widome ślady tego, że ludzie znad Sanu, Wisłoka i Wisłoki dzielili wszystko to, co było udziałem całego narodu, że byli w pierwszych szeregach walczących.

Odnótowałby ten ktoś nazwisko Wojciecha Wiśniewskiego z Gorliczyny, pow. Przeworski, jednego z pierwszych poległych II wojny światowej (o którym pisaliśmy niedawno) i urodzonego w Lubaczowie płk. Stanisława Dąbka, dowódcę obrony Helu, który, kiedy walka musiała ustać, wolał popełnić samobójstwo niż iść do niewoli; nazwisko płk. Józefa Kalandyka z Niechobrza pod Rzeszowem, obrońcę warszawskich dzielnic Wola i Ochota i płk. Prugara Ketlinga z podbrzozowskiej wsi Trześniów, dowódcę 11 Karpackiej Dywizji Piechoty krwawiącej pod Lwowem.

A partyzanci? Organizatorem jednego z pierwszych leśnych oddziałów, słynnych „Jędrusiów” był Władysław Jasiński, pochodzący z Mielca. Mało kto wie, że inny dowódca polskiej partyzantki major Hubal-Dobrzański urodził się w Jasie. A Augustyn Micał ze Zwięzicy ładujący ze spadochronem dla organizowania PPR i Gwardii Ludowej, a bohater warszawskich Szarych Szeregów, Janek Bytnar „Rudy” urodzony w 1921 r. w Kolbuszowej?

Długa byłaby lista podobnych nazwisk. Ich właściciele walczyli na Westerplatte i na szosach Francji, w skałach Narwiku i w piaskach

afrykańskiej pustyni, w kabinach angielskich samolotów i na zapleczu wroga, w lasach Podkarpacia, Puszczy Sandomierskiej i Solskiej. Znaleźli się na stokach Monte Cassino i we Flandrii. Byli nad Wołgą i Dnieprem w radzieckich, a później nad Wisłą i Bugiem w pol-

Witold Szymczyk

NA DROGACH I ŚCIEŻKACH WOJNY

skich już mundurach. Byli na Wale Pomorskim i w Warszawie, nad Odrą i Nysą oraz w Berlinie.

Niedawno ukazała się książka Janusza Przymanowskiego „Studzianki”, będąca relacją o walkach i Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, na nadwiślańskim przyczółku w lecie 1944 roku. W tej bitwie czołgistów ludowego Wojska Polskiego nie zabrakło także mieszkańców Rzeszowszczyzny. Pisze o nich autor dość szeroko i z sympatią, kreśląc zwięźle i koniecznie sylwetki wspaniałych ludzi i żołnierzy.

Pierwszą ranną brygadę w bitwie na przyczółku została plut. Irena Szymańska z Rzeszowa. Trafiona odłamkiem bomby lotniczej, mimo prób kolegów nie odeszła od aparatu telefonicznego i pozostała na stanowisku, nadal utrzymując łączność ze sztabem.

Czołgiem 114 dowodził Bronisław Leżuch z Przemysła. Ciężko ranny zmarł 10 sierpnia 1944 r. Polegi odważny eskadry 2 kompanii, pochodzący z Bieszczadów kpr. Michał Bobik. Ranny został mechanik czołgu nr 130 Piotr Osłowy ze Starogo Siola w pow. lubaczowskim. Walczył pod Studziankami dwaj bracia Dobrzańscy z Malawy, jeden był ładowniczym czołgu 126, drugi pluto-

nowym w kompanii fizyllerów 1 pułku czołgów. Walczył wesoły sierżant Bogusław Kowalski z Sędziszowa (ranny w czasie bitwy) i 19-letni zastępca dowódcy plutonu do spraw pol-wych. Józef Kwoka spod Rzeszowa, który w walce z bliska zniszczył gniazdo niemieckiego karabinu maszynowego.

Dowódcą czołgu 119 był Jan Babuła z Przemysła, dowódcą zaś plutonu kompanii technicznego zaopatrzenia chor.

Byli wśród czołgistów żołnierze września. Kowal Dobrzański z Malawy, był ranny w 1939 r. Emil Gajda, dowódca drużyny 1 komp. 53 pułku piechoty bronii Przemysła, tu został ranny i wzięty do niewoli. Uciekł z niej już na terenie Niemiec, poszedł na wschód i znalazł się w ZSRR, gdzie w 1941 r. wstąpił do wojska. Walczył m. in. pod Orlem, Woroneżem, Stalingradem i Lenino. Uczestnikiem kampanii wrześniowej był także ppor. Stanisław Drotlew — z-ca dowódcy 3 komp. czołgów, ongiś dowódcą plutonu w batalionie pancernym z Żurawicy pod Przemysłem.

Rzecz w historii polskiej broni pancernej interesująca: pierwsze walki pancerne z hitlerowcami staczała we wrześniu 1939 r. 10 Brygada Kawalerii, której oddziały przed wojną stacjonowały w Rzeszowskiem, i która po bojach w Krakowskiem walczyła następnie na Rzeszowszczyźnie. Walczyła wspaniale, nowstrzymując wielokrotnie silniejsze jednostki wroga, a później na rozkaz przeszła granicę. Jej żołnierze uczestniczyli w kampanii francuskiej 1940 roku, a później tworzyli trzon 1 dywizji pancernej, która okryła się sławą pod Falaise.

Właśnie kiedy Pierwsza Pancerna wal-

czyła we Francji o 1500 km od Warszawy, nad Wisłą, na przyczółek opanowany przez gwardystów gen. Czulkowa, bohatera ze Stalingradu, przybywał inni polscy czołgiści — Brygada Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, pancerna pięć ludowego Wojska Polskiego. Brygada ta liczy 2 500 ludzi, ma 71 czołgów średnich T-34, 15 czołgów lekkich T-70, 21 dział szturmowych i 6 samochodów pancernych.

Brygada przybyła na przyczółek celem wsparcia oddziałów radzieckich odpięających hitlerowskie kontrataki zmierzające do zepchnięcia ich z Wisły. W ciągu zażartych walk od 8 do 16 sierpnia 1944 roku, polscy czołgiści zniszczyli w walce z doborową niemiecką dywizją pancerną Herman Goering 40 czołgów i dział pancernych, 9 transportów opancerzonych i 28 dział przystrach własnych 18 maszyn i odegrali decydującą rolę w odparciu hitlerowskiego przeciwdzierzenia i utrzymaniu przyczółka.

Janusz Przymanowski autor „Studzianki” długo przygotowywał swoją książkę. Z benedyktyńską cierpliwością i dokładnością zbierał materiały i wspomnienia uczestników bitwy, przewertował liczne dokumenty, odbył wiele rozmów z ludźmi, przemierzył mnóstwo razy teren walk. Ba, by lepiej poznać warunki działań czołgistów nauczył się nawet prowadzić czołg T-34, (nawiasem mówiąc w 10 DP, która w 1944 roku powstała w Rzeszowie i stąd poszła na front).

Wynik tej pracy jest imponujący. Otrzymałmy jedną z najciekawszych książek, jakie o działaniach ostatniej wojny można przeczytać. Jest ona relacją o bitwie pod Studziankami, tak jak „Monte Cassino” Wańkowicza jest relacją o walkach pod słynnym klasztorem. Jest relacją piękną, bogatą, dającą imponu-

jący obraz walk polskich pancerniaków z hitlerowcami. Bogato (choć technicznie nie najlepiej) ilustrowana, zaopatrzona w szkice, ukazujące poszczególne fazy bitwy, odzwierciedla jej przebieg w sposób dokumentalny, ale jakże przy tym interesujący nawet dla laika.

Polecając tę książkę naszym Czytelnikom chciałbym zwrócić ich uwagę na jeszcze jeden szczegół. Otóż jak wynika z pracy Janusza Przymanowskiego przeciwnikiem polskich czołgistów pod Studziankami były także oddziały niemieckiej 45 dywizji piechoty. Dywizja ta w roku 1939 przetoczyła się przez ziemię rzeszowską, przechodząc m. in. przez Jarosław i usiłując częścią wydzielonych sił atakować Przemysł. Losy wojny przywiodły ją po 4 latach znowu do Polski i tu nad Wisłą właśnie brała cieżki od Polaków i Rosjan.

Jeśli już o Polakach i Rosjanach mowa, to chciałbym Czytelnikom interesującym się dziejami II wojny światowej zarekomendować opracowany przez Władysława Górę i Stanisława Wrońskiego zbiór partyzanckich wspomnień „Był z nami”. Wspomnienia te dotyczą działalności partyzantów radzieckich na terytorium polskim i ich współpracy z naszym ruchem oporu.

Książka podzielona jest na kilka rozdziałów, obejmujących działania partyzantów na terenie poszczególnych województw. W dwóch takich rozdziałach dotyczących województw lubelskiego i krakowskiego (zgodnie ze starym podziałem), znajdziemy wiele materiału

Zdzisław Kozioł

NA SESJI jednej z terenowych rad narodowych wywiązała się żywa dyskusja o wpływie telewizji na dzieci i młodzież. Sprokował ją pewien radny, który komentując sprawozdanie miejscowego komendanta MO, właśnie w telewizji dopatrywał się przyczyn wzrostu przestępczości wśród nieletnich. Rozmowa mowa była mniej więcej następująca: „Dzieci oglądają szkodliwe audycje, a potem zamiast odrabiać lekcje, zabawiają się w kowbojów i bandytów. Stają się one przemądrzałe, nie szanują starszych”.

Kilku dyskutantów oponowało dowodząc, że telewizja wywiera także wpływ pozytywny, rozszerza horyzonty, dostarcza sporo wiedzy i kulturalnej rozrywki. Inni solidaryzowali się z oskarżycielem. TV, I te głosy przewały, a co ważniejsze — z podobnymi wypowiedziami można spotkać się częściej. Na TV skarżą się np. pracownicy instytucji oświatowych i wychowawczych. A tymczasem liczba teleabonentów dynamicznie wzrasta; przybywa ich rocznie około 400 tys., pod koniec zaś I półrocza br. zarejestrowanych było 2 275 tys. aparatów.

W miarę upowszechnienia telewizji, wzrasta zainteresowanie badaczy jej oddziaływaniem na społeczeństwo. Dotychczas socjologów i pedagogów interesował głównie jej wpływ na dzieci i młodzież. W ostatnich latach ukazało się kilka publikacji, że wymienie „Rola telewizji w nauczaniu” Marii Burdowicz-Nowickiej i „Telewizję w nauczaniu i wychowaniu” Edwarda Fleminga. Skoro już mówimy o dydaktycznym znaczeniu telewizji, warto przypomnieć, że w Polsce realizowany jest ciekawy eksperyment telewizyjnego nauczania w zakresie wyższych studiów technicznych. Eksperyment popiera UNESCO, która częściowo pokrywa jego koszty w zamian za udostępnienie innym krajom polskich doświadczeń.

O dwójakim wpływie telewizji — pozytywnym a często szkodliwym wychowawczo i zdrowotnie — informują poradniki dla rodziców. Angielski psycholog, Hilda Himmelweit, na podstawie wieloletnich badań twierdzi, że oglądanie przez dzieci w wieku 7—9 lat nieodpowiednich audycji wywołuje często szkodliwe następstwa: lek przed zjściem ukazywanym jako koszmara, spadek zaufania do świata ludzi dorosłych itp. Systematyczne działanie bodźców w postaci takich audycji może doprowadzić do chorób i zaburzeń psychicznych. Zdarzył się nawet przypadek hysterycznej ślepoty u 9-letniej dziewczynki po oglądnięciu w telewizji francuskiego filmu „Symfonia pastoralna”, której bohaterka jest ociemniała dziewczynka. Zanotowano również próby samobójstw młodych chłopców, którzy przedwidzieli tego rodzaju sceny na ekranie, a także przestępstwa popełnione przez nieletnich według telewizyjnego „scenariusza”.

Obawy o zdrowie psychiczne dzieci, zwłaszcza w społeczeństwach zurbanizowanych, są jak najbardziej uzasadnione. Badania psychiatryczne przeprowadzone w szkołach angielskich wykazały, że 8 proc. uczniów wymaga leczenia w zakładach zamkniętych, a 1/3 — stałej opieki i pomocy psychologa lub nawet psychiatry. 1)

Nasuwa się pytanie, czy ustalenia zachodnich socjologów i psychologów mają zastosowanie w polskich warunkach. Wokół tego problemu narosło sporo nieporozumień. Niektórym odosobnione przykłady wystarczają do uogólnień, u źródeł zaś krytyki telewizji leży często bezradność wobec przemian, jakie zachodzą pod jej wpływem. Treści przekazywane przez TV powodują, że wspomniane wyżej zjawiska przybierają w Polsce inne rozmiary, co oczywiście nie wyklucza niepożądanych wychowawczo i zdrowotnie skutków. Dla zorientowania w tych sprawach rodziców wysunięto ciekawą, lecz nie zrealizowaną propozycję, by nabywcy odborników otrzymywali broszurki o różnorodnym wpływie telewizji na dzieci i młodzież w zależności od wieku (np. dziecko 5—6-letnie może oglądać telewizję nie dłużej niż pół godziny dziennie, 7—9-letnie — 1 godzinę, 10—12-letnie — do 2 godzin).

Wyłania się przede wszystkim pilna konieczność popularyzowania wyników prowadzonych w Polsce badań, których przydatność — po znawcza i dydaktyczna — jest szczególnie duża, gdyż dotyczą problemów naszego życia społecznego. Różne aspekty tego problemu podjął Zakład Socjologii i Historii

Uczeni o nas

Telewizja demokratyzuje rodzinę?

Kultury PAN, a następnie Pracownia Badań nad Kulturą Masową Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Rezultaty tych badań zawarte są w dwutomowej pracy „Telewizja w życiu dzieci i młodzieży” (Studium telewizji wśród uczniów szkoły podstawowej w mieście przemysłowym „N”) Jadwigi Komorowskiej. W oparciu o te badania autorka wygłosiła także ciekawy referat na międzynarodowej konferencji w Brukseli; omówiła w nim rolę telewizji w przeobrażaniu stosunków rodzinnych).

Badania te ukazują mechanizm oddziaływania telewizji na kształtowanie się stosunków w rodzinie miejskiej: między mężem i żoną, rodzicami i dziećmi. Wykazują, że telewizja jest poważnym czynnikiem w procesie zanikania barier kulturalnych między ludźmi różnej płci i wieku, bo wszystkim dostarcza tych samych treści. Po kupnie telewizora rodzina jak gdyby demokratyzuje się, zaczyna panować w niej atmosfera zabawy, co zmniejsza dystans między jej członkami. By można wspólnie korzystać z rozrywki, trzeba również wspólnie wykonywać czynności domowe, które najczęściej były dotychczas domeną kobiety. Nie bez znaczenia są tu także pewne audycje, np. z okazji Dnia Kobiet. Demokratyzacja stosunków rodzinnych może wzmocnić spójność rodziny miejskiej, scementować ją silnymi więzami uczuciowymi. I to jest bardzo istotne zjawisko.

W badanych rodzinach telewizor „pracował” przeciętnie 3 godziny 45 minut dziennie, a dzieci oglądali programy 2 godziny 18 minut. Pojawienie się telewizora w domu powoduje zamieszanie, ale po kilku tygodniach sytuacja stabilizuje się. Zachodzą jednak istotne zmiany w sposobie gospodarowania czasem wolnym. Sen, w tym także sen dzieci, bywa skracany, zajęcia domowe wykonuje się pośpiesznie, zanika „relaksowa” forma wypoczynku w ciszy i spokoju. Pojawienie się telewizora zmienia sytuację dzieci; rodzice liberalniej kontrolują odrabianie lekcji oraz wymagają od nich większej samodzielności w spełnianiu różnych czynności domowych. Dzieci zaś starają się swoje obowiązki, zwłaszcza odrabianie lekcji, wykonywać szybko, by zdążyć na telewizję. Dodać tu warto, że często rodzice zamiast tradycyjnych kar, zakazują dzieciom oglądania ulubionych audycji.

Im dłuższy okres posiadania telewizora, tym słabsze staje się regulowanie przez rodziców czasu spędzanego przed ekranem. Rygory utrzymują się dłużej w rodzinach „tradycyjnych”, w których wymaga się bezwzględnej posłuszeństwa wobec rodziców. I co ciekawe — zakazy w mniejszym stopniu dotyczą treści audycji niż czasu spędzanego na ich oglądaniu; rodzice obawiają się nie tyle szkodliwego oddziaływania audycji z uwagi na ich treść, co wpływu ślęczenia przed odbornikiem na zdrowie fizyczne.

Na postawę dzieci szczególnie silny wpływ wywierają kregi koleżeńskie; pod wpływem „dziecięcej opinii publicznej”, dziecko uważa ograniczanie czasu spędzanego przed ekranem za niesprawiedliwe, dzielenie audycji na dozwolone i niedozwolone — za nieuzasadnione. Swoboda pod tym względem decyduje często o „prestżu” wśród kolegów.

Tego rodzaju problemy nie mają rodziny „nowoczesne”, w których dzieci od wczesnych lat są dopuszczane do wykraczającej poza ramy programu szkolnego wiedzy o życiu ludzi dorosłych. Dzieciom wolno oglądać co chcą, a ewentualna ingerencja dotyczy czasu spędzanego przed ekranem. Rodzice uważają, że „dzieciom wolno wszystko pokazać, ale trzeba wyjaśnić, nastawiając je odpowiednio”. Wyrażają tym samym zaufanie do rozsądku swych dzieci oraz przekonanie o decydującym znaczeniu oddziaływania bezpośredniego środowiska wychowawczego dla kształtowania psychiki i zachowania dziecka.

Jest to argument przekonywający, ale nasuwają się wątpliwości: czy rzeczywiście można dzieciom „wszystko wyjaśnić”, czy rodzice — dla świętego spokoju rezygnują z ograniczeń — nie uprawiają tym stwierdzeniem swojej postawy. I czy wreszcie nie traktuje się telewizora jako swego rodzaju opiekuńcy na dzieci, wypełniającego im czas ku zadowoleniu rodziców.

Dzieci najczęściej oglądają pozycje przygodowe, ale interesują się także filmami i programami rozrywkowymi dla starszych. Poznają więc świat ludzi dorosłych, wkraczają w sferę ich kultury. Czują się więc „dojrzałe”, „dorodniejsze”. Wpływ telewizji jest tu znacznie większy niż np. kina czy lektury książek, gdzie przedziałowi wieku są rygorystycznie przestrzegane.

Telewizja zmienia tryb życia dziecka; unieruchomione przez kilka godzin w szkole, a następnie pochłonięte oglądaniem audycji, ma mniej czasu na typowe dla dziec-

cego wieku rozrywki i zabawy. Nagromadzoną energię tym silniej wyładowuje w wirze zabaw koleżeńskich, w których często odwarza podpatrzone na ekranie sceny i zdarzenia, również nie zawsze godne naśladowania, bądź źle rozumiane sceny z życia dorosłych. W tej sytuacji, gdy dzieci pozostawione są samym sobie, występują negatywne wychowawcze zjawiska.

Godna odnotowania jest uwaga J. Komorowskiej: „Tak więc wczesne dopuszczenie dziecka do wiedzy o świecie i życiu ludzi dorosłych bez umożliwienia im pełniejszego włączenia się w ten świat poprzez realne i twórcze działanie, sprawia, że szukają one możliwości tego działania poza kramami wychowawczy, nie osiagając — rzecz jasna — wyższego poziomu kultury zachowań i twórczości w kręgu koleżeńskich zabaw, chociaż skądinąd zdobywają tam szereg cennych wartości i nawyków”.

Pojawienie się w domu telewizora wymaga podniesienia na wyższy

poziom pracy wychowawczej w rodzinie; dziecko o rozbudzonych zainteresowaniach — a to telewizja bezwzględnie powoduje — potrzebuje więcej czasu, baczniejszej uwagi. Telewizor nie zastąpi wychowawczo-opiekunich funkcji rodziców, a wyręczanie się nim na dłuższą metę jest szkodliwe.

Okazuje się, że często rodzice nie dostrzegają w porę tego niebezpieczeństwa, co pogłębia trudności wychowawcze, a rodzina winna być „klamrą moralną, spinającą wpływ tak licznych dziś i różnorodnych środowisk kształtujących człowieka”. Autorka podkreśla więc konieczność niesienia rodzinie pomocy, by mogła spełniać swe funkcje wychowawcze.

Nie jest to postulat nowy; o współdziałaniu rodziny, zakładu pracy i szkoły mówi się już od dawna. W niejednym środowisku problemy te są skutecznie rozwiązywane. Brakuje jednak teoretycznego uogólnienia dotychczasowych doświadczeń, co utrudnia szersze ich upowszechnianie. Wkroczenie nauki i w tę sferę jest pilnie konieczne.

1) Janina Koblewska-Wróblowa — Telewizja w życiu naszych dzieci (TSS, Pogadanki dla rodziców).

2) Jadwiga Komorowska — Rola telewizji w aktualnych przeobrażeniach stosunków rodzinnych; Studia Socjologiczne nr 1/1966.

Zbigniew Wawszczak

Portret z basztą katowską

Trzeciego marca br. w miasteczku przybył nowy doktor. Nie lekarz. — Tadeusz Ślawski jako żywo nie parzył się nigdy medycyną, może jedynie wtedy o nią zahaczył, gdy w badaniach nad przeszłością rodzinnego grodu napotkał jakiegoś znamienitego medyka. Przedmiotem doktorskiej rozprawy, którą przygotowywał pod kierunkiem macierzystej uczelni, wszechniczy — która na dobrą sprawę, jak twierdził uczeń, powinna zwać się kazimierzowska (boć to przecież król Kazimierz, jako drugą w Europie Środkowej, do życia ją powołał), przedmiotem naukowych badań pana Tadeusza były, rzecz prosta, dzieje miasta, z którego, skończywszy liceum, poszedł utartym przez średniowiecznych żaków szlakiem do Krakowa. Tak bywało już w 15 i 16 stuleciu, kiedy żył, wywodzący się z Biecza byli na krakowskiej uczelni tak liczni, że zajmowali wca le niepoślednią lokatę, bo trzecią (za beanami z Krakowa i Poznania).

W ciągu wieków los nie był dla Biecza łaskawy, miasto straciło swe dawne znaczenie, podupadło, zmalało, nadal przecież zachowało swój dawny urok. Tadeusz wyrastał w cieniu dawnej świetności, wśród murów, które gościły koronowane głowy zaczynając od Lokietka poprzez Kazimierza Wielkiego, Jagiellę, Jadwigę. W latach gimnazjalnych wyprawiał się wraz z rówieśnikami na wzgórze królowej Jadwigi, wchłaniał podania o dawnych czasach, kiedy to potężny zamek, jak chciała miejscowa legenda Jagiello zburzyć kazał z zemsty za to, że w jego komnatach Jadwiga podejmowała miała Wilhelma. Słuchał też przedziwnych historii o straszliwym rzemiośle katowskim, którego tutaj nauczano w specjalnej „szkole”.

To wszystko nie pozostało chyba bez wpływu na wybór kierunku studiów: licealista bez wahania zapisuje się na historię, nie wiem nawet czy pamiętając o swym sławnym rodaku, mieszczańskim bieckim, Marcinie Kromerze, który sekretarzując królom, historię kraju spisał, rozslawiając jego imię za granicami. Ale młodzież Tadeusza nie była bynajmniej taka sielska, jakby to wynikało z naszej opowieści. Ślawski dorastał w czasach okupacji; w jego rodzinnej tuż pod Bieczem położonej wsi, w Święcicach, jak zresztą na całym Podkarpaciu powstawał zbrojny ruch oporu. Przyszły historyk znalazł się w szeregach AK; początkowo pochłaniał go praca organizacyjna, kolportaż prasy, a w 1944 r. trafia do grupy bojowej. Brał udział w kilku potyczkach, z których wspomina zwłaszcza dramatyczne perypetie akcji pod Suloszą w powiecie jasielskim.

Wprost z partyzantki poszedł na gimnazjalną ławę i dalej na studia. W tym czasie dały o sobie znać okupacyjne trudy, Tadeusz zapada

poważnie na zdrowiu, przez kilka lat nie może podejmować pracy zawodowej.

Ale wraca do Biecza, by już na stałe utknąć w cieniu katowskiej baszty. Wciąga go bez reszty urok tego dziwnego miasteczka. W roku 1953 widzimy go w gronie założyci

Januszowie był przez większą część życia związany z Bieczem, tutaj mieszkał i założył rodzinę.

Barwne relacje o walkach z szarym się w Karpatach zbójnictwem popchnęły Ślawskiego do głębszych studiów nad tymi zagadnieniami. W ten sposób powstała praca o beskidnikach ziemi bieckiej.

Wiedza Tadeusza przydała się bardzo w realizacji imponujących regionalnych zamierzeń wydawniczych. W powiatowych Gorlicach (do których należy stołeczny dawniej Biecz) zakrzętnięto się około publikacji rozpraw regionalnych. W ten sposób narodziły się przed paru laty studia „Nad rzeką Ropą” — dwa tomy zdołał już biblioteki licznych w tych stronach miłośników „najbliższej ojczyzny”. Tom trzeci znajduje się w druku w Krakowskim Wydawnictwie Literackim: jego redaktorem naukowym jest właśnie Tadeusz Ślawski.



cieli skromnego muzeum bieckiego. Z placówką tą jest zresztą związany po dzień dzisiejszy. Wraz z grupką miejscowych zapaleńców dostrzegł szansę, jaką nowe czasy dają miasteczku w postaci turystyki. Tadeusz Ślawski zaangażował się czynnie w organizację szlaków turystycznych, miejsc noclegowych, w upiększaniu miasta. Dał się poznać jako rozsądny rzecznik interesów miejscowych, łączący wiedzę o przeszłości miasteczka z nadziejami na jego odnowę. Wybrano go więc na zastępcę przewodniczącego MRN; decyzja słuszna, zwłaszcza w takim ośrodku jak Biecz, gdzie wszelkie poczynania zmierzające do rozwoju miasteczka powinny być dokonywane w taki sposób, aby nie uronili z cennych wartości pozostawionych przez minione stulecie.

Udzielając się w pracy społecznej, Ślawski pozostaje przecież wierny powołaniu historyka. W zaciszu swojej pracowni, której okno wychodzi na smukłą, opiętą koronkami rusztowań — sylwetę ratuszowej wieży, powstają studia z dziejów dawnego Biecza. Zajmuje się rozwojem handlu, rzemiosła, grzebiąc w archiwach wydobywa na jaw nieznaną na ogół szczegóły z udziału miasta w życiu dawnej Polski, odkrywa wybitne jednostki, które stąd wyszły. Do takich odkryć należy znany 17-wieczny autor utworów sowidrzalskich, Jan Januszowiec. Historycy literatury staropolskiej znali twórczość Januszowicza: Ślawski przywrócił go — rybałta Bieczowi. W dawnych dokumentach przypadkiem odkrył, że

Wie o tym wszystkim — ale jak człowiek zakochany, jest niecierpliw. Chciałby, aby prastary gród piękniał jeszcze szybciej.

„My naprawdę nie umiemy dobrze sprzedawać Biecza. Ma on wspaniałe położenie, śliczną architekturę, klimat dawnych gotycko-renańsowskich czasów — Biecz porównywany do polskiego Carcassonne — mógłby przyciągać zagranicznych turystów — ale nie jesteśmy na to przygotowani. Nie mamy nowoczesnego hotelu, restauracji, a bez tego ani rusz”...

Ślawski widzi swój Biecz włączony w nerwy rytm międzynarodowej turystyki. Nie tylko marzy — ale i pracuje nad tym, aby dzień ten przybliżyć.



ODPOCZYNEK

CAF UCHYNIAK

Na drogach i ścieżkach wojny

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dotyczącego historii partyzantki radzieckiej i polskiej na terenach wchodzących obecnie w skład naszego województwa.

Będzie to m. in. kronika rajdu i Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej dowodzonej przez Petra Wersyhorę, która w lutym i marcu 1944 roku działała, współpracując z polskimi partyzantami, na terenie Zasania. Kronika ta publikowana kiedyś w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” została przez autora Władimira Ziebelowa uzupełniona i poprawiona w wyniku rozmów z dowódcami partyzantkami. Nikolaj Prokopiuk, pisząc o historii swojego zgrupowania wspomina o działaniach na terenie powiatu lubaczowskiego, a Wiktor Karasiow o przemarszu przez te ziemie w drodze jego oddziału do Czechosłowacji. O walkach na Zasanu pisze partyzant Karasiow, Nikolaj Kasatkin oraz Borys Szangin i Grigorij Kowalew z oddziału i zgrupowania im. Chruszczowa. Nazwy miejscowości s pow. Jarosławskiego i lubaczowskiego oraz z Podkarpacia powtarzają się także w kilku innych wspomnieniach.

O swoim pobycie w Bieszczadach pisze szeroko Władysław Kwitnyński, dowódca oddziału działającego w rejonie Jablonki — Cisnej, a następnie Dukli i Myscowej. Leonid Berensztajn omawia działalność dywersyjną oddziału im. Pożarskiego na linii Ustrzyki Dolne — Sa-

nok. Na teren pow. jasielskiego docierali partyzanci Iwana Zolotara, posiadający swą bazę w okolicy Nowego Sącza.

Niezwykle interesujące są te wspomnienia „leśnych ludzi”, opowiadające o dniach walki i niebezpieczeństwa, o współpracy i wzajemnej pomocy radzieckich i polskich bojowników z hitleryzmem. Trud autorów zbioru, liczącego ponad 500 stron i 39 prac polskich i radzieckich partyzantów, polegający nie tylko na skompletowaniu wspomnień, ale także na ich skonfrontowaniu z materiałami historycznymi, jest dalszym niezwykle cennym wkładem w odtwarzanie dziejów wojny na naszym terenie, wkładem do historii polsko-radzieckiej przyjaźni i braterstwa broni.

Na zakończenie chciałbym zaprezentować jeszcze jedną książkę, o nieco innym niż poprzednie charakterze, ale także wracającą do tych surowych lat, kiedy oręż był najbardziej rozstrzygającym elementem. Jest to wydana przez Wydawnictwo Lubelskie książka Władysława Kisielewskiego (autora „Dywizjonu Lancasterów” i „Z Torunia do Londynu”), „Batalion śmiałych” — zbeletryzowana, ale oparta na autentycznych faktach i ope-

rująca nawet autentycznymi nazwiskami niektórych bohaterów, opowieść o walkach z bandami UPA w Bieszczadach, a ściślej o wyczynach pewnego zagoncyzka, świetnego zwiadowcy i niezwykłego rzykanta. Opowieść ma charakter wspomnień tego bohatera i innych uczestników tamtych wydarzeń w wiele lat po walkach z UPA, podczas ćwiczeń wojskowych na terenie Bieszczadów. Ćwiczący operują w znanych im dobrze okolicach, działając podległych im żołnierzy przywodzą na pamięć dawne groźne dni.

Książeczka jest niewielka, ale lekka w czytaniu i interesująca. Warto dodać, że autor oparł się na wspomnieniach oficerów Wojska Polskiego, milicjantów i żołnierzy. Oto ich nazwiska wzięte z podziękowania, jakie Kisielewski składa na wstępie do książki: płk Tadeusz Pisula, ppłk Julian Węgrzyn, ppłk Niemczyk, mjr Mirosław Palczewski, kpt. Stanisław Jackowiak, płk Jaworski, ppłk Korzeniecki, st. sierż. MO Jan Złociński, st. sierż. MO Michał Podhalicki, st. sierż. MO Kazimierz Drwiega, st. sierż. Dzierżek z dawnego zwiadu konnego w Bieszczadach oraz żołnierz 34 pp Szymon Łąkwicz.

WITOLD SZYM CZYK

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

Miejsce klubu w życiu wsi

STEFAN KŁOSOWICZ z powiatem strzyżowskim jest związany nie tyle nominalnie, bo tu się urodził — ile właśnie ogromnym zaangażowaniem w pielęgnowaniu kultury ludowej swego regionu.

— Piosenka i taniec, to już taka żyłka rodzinna — mówi sam o swym zainteresowaniu. Zainteresowanie to jest jednak wspaniałą pasją, która od 15 lat przynosi niecodzienne plony. Sława Zespołu Pieśni i Tańca z Glinika Zaborowskiego, który ostatnio obchodził 10-lecie swego istnienia sięga poza granice naszego województwa, ba, poza granice kraju. Te ostatnia przyniosły występy we Francji i I nagroda na festiwalu amatorskich zespołów w Confolens (1959 r.).

Z zespołem z Glinika Zaborowskiego Stefan Kłosowicz związany jest jako kierownik artystyczny od lat dziewięciu. Prowadził również 30-osobowy chór mieszany w Wiśniowej i Zespół Pieśni i Tańca w Godowej. I nie ma świetlicy, domu kultury nie tylko w pow. strzyżowskim, które by nie znalazły tego zasłużonego działacza kultury.

Dziś wieloletnim doświadczeniem w pracy artystycznej na wsi dzieli się z podobnymi mu entuzjastami jako instruktor Powiatowego Ośrodka Instrukcyjno-Metodycznego w Strzyżowie.

Powiat strzyżowski posiada już 40 zorganizowanych klubów wiejskich, które firmują bądź „Ruch”, bądź „Samopomoc Chłopska”. Praca w klubach wygląda różnie, ale są to potencjalne placówki ognisk życia kulturalnego na wsi. Wszystkie one poszukują jak najwłaściwszych form pracy dla swego środowiska. W wypracowaniu ich kluby potrzebują pomocy doświadczonych pracowników kultury. Tymczasem za tak okazałe brzmiącą nazwą Ośrodka Instrukcyjno-Metodycznego tkwi dwoje ludzi, których obowiązkiem jest nie tylko opieka nad 40 wspomnianymi klubami, lecz pomoc w pracy wszystkim zespołom działającym w Strzyżowie i innych miasteczkach i wsiach rozległego powiatu o specyficznej strukturze. Są przede wszystkim skupiska ludzkie dosłownie odcięte od świata, gdyż dojazd do nich autobusem czy samochodem często nawet przez wiele miesięcy w roku nie jest możliwy. Rozwijanie właśnie tam życia kulturalnego i właściwego odpoczynku po pracy jest szczególnie ważne.

— Czy tych dwóch entuzjastów może być wszędzie tam, gdzie fachowa pomoc jest potrzebna?

Odpowiedź jest oczywiście negatywna. Zapewne dlatego w rozmowie na temat zbliżającego się Kongresu Kultury Polskiej z delegatem, którym właśnie jest Stefan Kłosowicz ponad problemy związane z rozwojem życia kulturalnego na wsi strzyżowskiej wyłania się sprawa organizacji kultury i rozrywki w samym Strzyżowie.

Miasto powiatowe powinno promieniować swą działalnością na cały teren. Przypadek Strzyżowa jest paradoksalny. Dopiero od kilku miesięcy Strzyżów posiada dla Biblioteki Powiatowej i Miejskiej siedzibę z prawdziwego zdarzenia. Jest to zarazem pierwsza placówka kulturalna w stolicy powiatu. Na kino strzyżowianie czekają już... trzeci rok. Adaptacja budynku przy ulicy Kolejowej do potrzeb nowoczesnego kina oby jak najszybciej dobiegła końca. W budynku tym 4 pomieszczenia na piętrze mogłyby pomieścić skromny, ale działający — Powiatowy Dom Kultury. Powiatowa Rada Narodowa wygospodarowała już 6 etatów (od 1 I 1967 r.) dla przyszłego PDK. Dopiero PDK wraz z PIMBP będą mogły być organizatorami życia kulturalnego dla mieszkańców samego Strzyżowa i podpora dla szeroko rozwiniętego i stale rozwijającego się ruchu artystycznego w powiecie i placówek kulturalno-światowych, jakimi coraz bardziej stają się kluby rolnika i kluby „Ruch” na wsi.

Rozmawiała: M. C. GUZIOŁEK



Wyszedłem z „Centralnej”. Wypełniając ją powietrze, nasycone wonią kapusty i cebulowych sosów rozluźniło ścisnącą moje wnętrzności petle głodu. Uderzył mnie lekki, łagodzący upał wiatru. Miałem go prosto w twarz. Przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że sunę dnem morza zamknięty w szklanej kuli, a ocierający się o mnie ludzie to ciała ryb. Uniosłem do oka urojoną kamerę filmową i zacząłem komponować prolog mej powieści: plazmowate bryły poruszały się w mleku mgły w rytm słów narratora, początkowo bełkotliwych, niezrozumiałych, uzyskujących w miarę przerzedzenia się mgły wyrazistość.

Rozluźniłem mięśnie zwierające powieki i zatrzymałem się na krawędzi chodnika. Pomarańczowe światło zmieniono na czerwone. Ktoś dotknął mego ramienia. Obejrzałem się. Obok stała Magdalena. W materiał jej rękawiczki wrzynał się uchwyt siatki wyładowanej pomidorami, bulkami i masłem.

— „Magdaleno to tak pachną wodorosty powłóczyste twoje włosy zamęczone kołysaniem fal...”

— Ładne. To ty napisałaś?
— Salomea Kapuścińska.
— Zamęczone kołysaniem fal... włosy?

— Tak.
Zapalono zielone światło i ruszyliśmy razem z napierającym na nas tłumem. Wziąłem od Magdy siatkę do lewej ręki, a końcami palców prawej ująłem ją delikatnie pod ra-

mie. Poczulem jak jego mięśnie przeją się gwałtownie...

Nieoczekiwanie poczułem tępe, przytłumione ukłucie tuż pod mięśniami brzucha. To mnie zaskoczyło. Po operacji miałem aż do tej pory zupełny spokój z moimi wnętrznościami.

Ukłucie powtórzyło się raz jeszcze. Wstrzymałem oddech.

„To zrosty z operacji... musisz coś zjeść, coś ciepłego. To je uspokoi, uspi te sakramentkie flaki... Powinna ci zaproponować, ażebyście poszli do niej. Do piętnastej jeszcze sporo czasu!”

Poczulem, jak przez moje ciało przepływa fala gorąca. Następnie, jak na skórę czoła wypelzają laskotliwe kropelki potu. Odchyliłem głowę, ale bezskutecznie szukałem powiewu wiatru.

Przejechałem rękawem koszuli po twarzy. Był gładki, chłodny. Zamknąłem oczy i przycisnąłem do niej powieki. Zapragnąłem naraz wyciągnąć się na płytach chodnika i nie otwierać oczu, nie odpowiadać na niczyje pytania, nie szukać argumentów do odpięrania ataków. Czulem, jak pot przykleja rękaw do mej twarzy, czulem go również pod pachami i za karkiem, i pomiędzy palcami drętwiejącymi pod uciskiem sznurkowego uchwytu siatki z wiktuałami.

Popatrzyłem na Magdę i ułożyłem twarz w grymas uśmiechu. Zależało mi, że nie mam za plecami lustra, w którym mógłbym go skorygować.

— „Magdaleno wypieszczona wiotki przypliw o zachodzie wkleśte słońce...”

Odwrociłem się od Magdy i nie spiesząc zacząłem iść dalej. Przez chwilę stała w miejscu, po czym metalowe obcasy jej szpilek zastukały o beton chodnika.

Przełożyłem siatkę do drugiej ręki i wytarłem dłoń o spodnie. W nozdrza uderzyła mnie ostra woń przekrojonego bochenka chleba.

„Setka wódki. To by cię od razu postawiło twardo na nogi. To zawsze pomaga”.

Zza rogu wychynął Tyczka. Lewą rękę trzymał w kieszeni marynarki, kciuk prawej wetknięty miał za pasek spodni. Zwyczaj ten przyjął od Hrabiego. Starł się również naśladować sposób jego chodzenia.

— Czolem Tyczka — powiedziałem. Byłem zadowolony, że go spotkał się.

Tyczka zatrzymał się, zamrugał swoimi kaprawymi oczkami, po czym zaczął niemrawo przepychać się ku nam przez wartki potok przechodniów. Kiedy nie miał na nosie okularów, sprawiał chwilami wrażenie kretyna.

— Kto to? — spytała szeptem Magda.

— Pisarz — powiedziałem celowo głośno. — Pisarz Edwin Tyczka. Poeta i prozaik.

Tyczka poczerwieniał z zadowolenia. Najmocniej nabiegły krwią jego duże, odstające uszy, które, jak twierdził Hrabia, miały zwyczaj łopotać na wietrze.

— Tyczka jestem — powiedział wyciągając rękę do Magdy — bardzo mi przyjemnie.

— Magdalena.

— Mnie również bardzo przyjemnie — powiedziałem. Ręka, której dotknąłem, była wilgotna.

— Co? Ach, przede wszystkim chciałem cię przeprosić za to, że nie byłem na waszym wieczorze autorskim. Musiałem wyjechać w teren, rozumiesz, służbowo,

— Służbowo — powtórzyłem akcentując każdą sylabę. Spojrzałem na jego prześwietlone słońcem, pokreślane czerwonymi żyłkami ucho i przypomniało mi się pytanie, a właściwie stwierdzenie pijanego Hrabiego: „Tyczka, dlaczego ty masz takie duże uszy? Tylko mi nie próbuj tłumaczyć, że to wina twojego ojca. To jest właśnie twoja wina”.

— Cóż — Tyczka wykrzywił usta, jak gdyby miał zamiar wybuchnąć płaczem.

— Jesteś pisarzem? — spytałem.

— Dlaczego...

— Co, dlaczego. Pytam, czy jesteś pisarzem.

Tyczka zerknął niepewnie na Magdę.

— No... jestem... — bąknął.

— Więc powinienes zajmować się pracą pisarską. Wyłącznie. Rozumiesz? Niczym innym i to pod żadnym pozorem. W przeciwnym razie wszystko na nic. Albo, albo. Temu trzeba poświęcić się bez reszty. Tylko wówczas można do czegoś dojść na tej drodze.

„Po co mu to mówisz, przecież nie wierzysz w jego talent. To by było zabawne, gdyby się zastosował do twojej rady”.

— Ty jesteś sam — powiedział Tyczka.

— A Chalupka? Też ma żonę i dziecko. Ale Chalupka wie...

— Tak...

— Chalupka wie, że z nich dwójga tylko ona teraz powinna pracować zarobkowo. Wie, że inaczej... zresztą wiesz doskonale, jaki stąd wniosek dla ciebie. Faulkner w jednym z wywiadów wyraził pogląd, iż najstosowniejszym zajęciem dla pisarza jest prowadzenie domu publicznego.

Tyczka łypnął na mnie wybaluszonym okiem. Magda skrzywiła się z niesmakiem.

— Słyszałem... słyszałem — zafaknął się Tyczka — że mieliście liczne audytoria na spotkaniu i że w ogóle wieczór wam się udał...

— Owszem, w sumie było znacznie — powiedziałem.

— Pani była?

— Tak — mruknęła niechętnie Magda.

— Bankietowaliśmy? — zwrócił się ponownie do mnie. Lewą rękę miał znowu w kieszeni marynarki, kciuk prawej za pasek spodni. Na jego górnej wardze i na czole lśniły w słońcu drobne kropelki potu.

„Nic ci nie jest, to rzeczywiście od upału... chyba będzie burza i dlatego te poty... setka wódki...”

— Bankietowaliśmy. Najpierw w „Centralnej”, potem na dworcu i w wieży. Postawisz setkę?

Półśmiech na twarzy Tyczki, z którym słuchał o „Centralnej” i wieży, przekształcił się znowu w grymas cierpienia.

— Teraz?

— Teraz.

— Gorąco. — Tyczka poruszył ramionami w taki sposób, jak gdyby próbował uwolnić się z ubrania. Przejechał końcem języka wokół warg i mlasnął z niesmakiem. Odwróciłem od niego wzrok i spojrzałem na Magdę. Obserwowała mnie spod zmarszczonych brwi.

— To dla siebie weźmiesz pięćdziesiątkę — powiedziałem — a dla Magdaleny kawę. Wypijesz małą czarną? — to raczej stwierdzenie aniżeli pytanie zabrzmiało mimo mojej intencji niemal opryskliwie. Chciałem jak najszybciej uisnąć w jakimś chłodnym miejscu i napić się wody sodowej albo piwa, wyobraziłem sobie moment przechylenia kufia wypełnionego zimnym jak lód piwem, i znowu poczułem ten obrzydliwy przypliw śliny w ustach.

— Chodźcie.

— Ależ... — zaczęła Magda. Chwyliłem ją za ramię i ścisnąłem. Przeszaskrzyłem się, że Tyczka, który już

List z Krakowa

Ogórkowe żniwa



Rys. J. SIENKIEWICZ

Co słychać w grodzie Kraka? Ano, Dorota G. spadła z drabiny i złamała obojczyk. Józef C. został potrącony przez motocykl marki WFM, Piotr P. doznał oparzeń drugiego stopnia wylewając na siebie czajnik z gorącą wodą... prócz tego jeszcze ktoś komuś dał po mordzie, ktoś inny po mordzie dostał — same sensacje!

Nic nie słychać w Krakowie, cieża jak makietm zasiał na polu kulturalnym, to znaczy w teatrach, domach kultury, muzeach. Czynne są tylko dwa lub trzy przybytki Melpomeny, reszta się urlopuje. Widzowie też nabierają sił przed nowym sezonem teatralnym.

Mimo wszystko mieliśmy jedno wydarzenie, które zaprzęgnięto uwagę wszystkich bez wyjątku mieszkańców miasta, nie wyłączając dzieci i starców, intelektualistów i gospodyń domowych, ludzi sztuki i techniki, w ogóle wszystkich w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Wydarzeniem tym było ujęcie krakowskiego „uampirka”, mordercy kobiet i dzieci, który od dwóch lat wzbudzał postrach swoimi wyczynami. Okazał się nim 20-letni młodzian nozwiłkiem Karol Kot, absolwent Technikum Energetycznego przy ulicy Loretańskiej, syn jednego z inżynierów.

Morderca przyznał się do winy, oświadczył, że zabijał dla przyjemności. I zapytany dlaczego napadał najpierw starsze, ułomne kobiety, a następnie dzieci — beztrząsco odparł, że dorosłych mężczyzn nie zaczął dlatego, że „mogło nie wyjść”. Zwyrodnialec, psychopata, chory umysłowo...? Na te pytania odpowiedzieć biegli psychiatrzy, psycholodzy, na pewno cały sztab naukowców będzie się trudził nad zbadaniem

stanu umysłu tego niecodziennego mordercy. Dziwny to jednak byłby przypadek schorzenia psychicznego, które pozwala na bezbiedne i logiczne rozumowanie — nie atakować mężczyzn — które nie przeszkadza ukończyć szkoły, pozwala na normalne życie, na zachowanie pozorów.

Litwiec upłynął w Krakowie pod znakiem deszczu i wycieczek. Sierpień, jak dotąd nie zaprezentował się najlepiej, nie było w zasadzie ani jednego dnia pogodnego w pełni. Klepska aura nie odstrasza jednak gości krajowych ani zagranicznych, którzy tłumnie zjeżdżają do podwawelskiego grodu. Cały rynek, wszystkie parkingi obstawione są szczerliwie samochodami różnych typów z zagranicznymi rejestracjami. Mnóstwo turystów z Anglii, Francji, Szwecji, sporo Czechosłowaków, Węgrów i Włochów, trafiają się Belgowie, Holendrzy, Jugosłowianie, Niemcy, Bułgarzy, Amerykanie — wszystkie bez mala nacje.

Z dużą satysfakcją odnotowujemy fakt, że nasi rodacy wydorobili w zakresie zainteresowania motoryzacją. Nie trafiają się już prawie zupełnie papiere przy zagranicznych wozach. Jeszcze tylko sportowe, albo wycieczkowe auta uczestników Rajdu Polski przyciągają uwagę, albo ekstrawaganckie krążowniki „made in USA”. Jeszcze interesują się ludzie domkami campingowymi na kółkach, z którymi podróżują co oszczędniejsi obokrajowcy. Zainteresowanie zupełnie usprawiedliwione, gdyż ten i ów posiadacz samochodu usiłuje podpatrzeć rozwiązanie konstrukcyjne domku — przycepy i sprokurować podobny na swój prywatny użytek. Domek na kółkach uniezależnia przecież po-

dróżającego od hoteli, pozwala na spore oszczędności nawet w dziedzinie aprowizacyjnej. Można w nim przecież zainstalować kuchenkę gazową i prowadzić wykwinną kuchnię we własnym zakresie. Są już nawet lodówki w co bardziej luksusowych przyczepach, tylko o wannach jak dotąd nie słyszałem.

Rodacy wydorobili w zakresie zainteresowań motoryzacją, ale jeden samochód wywołał jednak ogromną sensację. Przyznaję się ze skruchą, że sam należałem do grona gapiów i wcale tego nie żałuję. Otóż powodem sensacji okazała się „Tatra” ze znakiem rejestracyjnym Czechosłowacji z roku 1936. Czarne, pięknie wyklakierowane pudło z trąbką na zewnątrz wozu, ze stopniami jak w bryczce — istne cuda. Taki stary wóz jest podobno ostatnim krzykiem mody na Zachodzie, ale jak się okazuje i do braci z południowej strony Tatr już ta moda dotarła. Tylko patrzeć jak na naszych drogach zaroi się od „Polskiego Fiata” z lat trzydziestych, „od starych fordów, opłi i innych wozów pamiętających czasy Franz Josepha, albo troszkę późniejsze. A może by zaproponować naszemu przemysłowi motoryzacyjnemu, żeby od razu produkował wozy na obraz i podobieństwo tych z lat trzydziestych lub dwudziestych. Nasze współczesne samochody nie grzeszą przecież nowoczesnością rozwiązań konstrukcyjnych silnika, będziemy więc mieli karoserię adekwatną do całej reszty i zdobędziemy może wreszcie świat naszymi samochodami!

Goszczą w Krakowie przedstawiciele młodzieży francuskiej, goście szwedzka telewizja, goszczą Anglicy. Krakowianie dla odmiany wyjeżdżają we wszystkie strony świata, nie wyłączając Bułgarii, Rumunii i Jugosławii... W tym roku jednak, w tak zwanym „dobrym” towarzystwie — kryterium: zawartość portfela — liczy się dopiero wyjazd do Italii. I nie należy, broń Boże, mówić Włochy, tylko właśnie Italia, gdyż brzmi to niezwykle dystyngowanie i od razu ustawia człowieka na właściwej pozycji. Ja oświadczyć jestem zupełnie że ustawiony — wybieram się na urlop do Karpacza, gdyż lubię Dolny Śląsk, Kocham Karkonosze i czuję się tam doskonale. Kocham w ogóle góry — Tatr, Bieszczady, woleję je od morza, które rozleniwia człowieka. A leniwość jest brzydką wadą — należy je zwalczać nawet na urlopie. Chyba że ktoś cierpi na wrodzony wstręt do pracy, na który może sobie pozwolić z racji bogatego wujka — obawiam się jednak, że bogaci wujkowie z kolei czują nieprępartą niechęć do biednych a leniwych siostrzeńców. Słowem bez pracy nie da rady.

Takim wielce moralnym stwierdzeniem pozwolę sobie zakończyć list z pachnącego ogórkami Krakowa. JERZY WALAWSKI

„KULTURA o Rzeszowszczyźnie

Redakcja miesięcznika „Kultura i Ty”, pisma zajmującego się problematyką masowej działalności kulturalnej i amatorskiego ruchu artystycznego ostatni (6) numer poświęciła w całości Rzeszowszczyźnie. Wybór tego właśnie rejonu nie był sprawą przypadku. W artykule redakcyjnym Stefana Artowskiego czytamy, iż ta ziemia zawsze przodowała w polskiej kulturze, zwiastowała w pędzie do wiedzy, w wysokim poziomie umysłowym tutejszego ludu i jego świadomości ideowej. W okresie międzywojennym ilość uczniów pochodzenia chłopskiego w szkołach średnich wynosiła 70 proc. Miasteczka galicyjskie jak Jasło, Sanok, Krosno czy Brzozów już przed stu laty miały szkoły gimnazjalne. Ale — czytamy dalej — „o regionie tym szerzą się od wielu lat najbardziej balamutne i zgola nieprawdziwe wiadomości. Nieodpowiedzialna publicystyka zestawiała te ziemie pod względem rozwoju kultury i oświaty niemal z przedwojenną Polską B. Boli to Rzeszowianka, zwłaszcza że nie bardzo mogą, bo nie mają gdzie, prostować te fałszywe opinie”.

Przypominamy naszym czytelnikom, że o tych sprawach pisaliśmy niedawno w „Widnokręgu” w artykule „Mity, stereotypy, formułki”. „Nie jest więc ta ziemia uogorem kulturalnym” — pisze Stefan Artowski. „Przeciwnie, stąd na cały kraj od lat płyną potężne oddziaływające prądy oświaty i kultury. Tylko Kraków może pod tym względem równać się z Rzeszowskiem, choć nurt plebejskiej kultury tu właśnie zrodził się pierwszy...”

Rzeszowszczyzna to nie ubogi krewny, to nasz starszy brat. I działacz kulturalni, pełni dobrej woli krzewienia kultury i oświaty, powinni pamiętać: z tej ubogiej, kamienistej podgórskiej Ziemi wyszły pierwsze promienie światła wiedzy i kultury w polski lud”.

Miesięcznik przynosi bardzo dużo informacji o różnorodności form i bogactwie współczesnego dorobku kulturalnego w naszym regionie. Z najwyższym uznaniem mówi o zasłużonych twórcach i działaczach rzeszowskich. Cześć publikacji wyszła spod piór publicystów i dziennikarzy rzeszowskich, pozostałe przygotował zespół redakcyjny pisma „Kultura i Ty”. Znajdujemy tu wywiady z sekretarzem KW PZPR Stanisławem Rybą, z zastępcą przewodniczącego Prez. WRN Mieczysławem Kaczorem, rozmowę red. Stefana Atlasa z Jerzym Kobryniem przew. Komisji Kultury WRN, z Józefem Woźniakiem sekretarzem KWZZ i Władysławem Czajewskim kier. Wydziału Kultury Prez. WRN.

Dalej Franciszek Kotuła pisze ze zwykłą sobie euforią nieco dyskusyjny artykuł o rzeszowskiej sztuce ludowej. Adolf Jakubowicz mówi o spotkaniach współczesnej plastyki z odbiorcą wiejskim. Stwierdza, iż wbrew oczekiwaniu odbiorca wiejski — bardzo wrażliwy i chłonny dobrze rozumie współczesne malarstwo i dlatego okazyjne, okolicznościowe podejmowane akcje upowszechniania plastyki na wsi należy zastąpić trwałą, długofalową i systematyczną pracą na tym odcinku.

Witold Szymczyk omawia dorobek i trudności w pracy Amatorskich Klubów Filmowych w Rzeszowskiem, a Józef Zygmunt, kierownik Szkoły Podstawowej w Jeżowie, pisze o działalności wzorowego Uniwersytetu Powszechnego w tej miejscowości, istniejącego już od 9 lat i liczącego około 400 słuchaczy.

Z autorów pozarzeszowskich spotykamy m. in. Wojciecha Jan-kowernego, popularyzującego metody pracy bibliotekarzy rzeszowskich i zwracającego uwagę na wielkie osiągnięcia szeregowych pracowników księżki w naszym województwie, Aleksandrę Naborowską z artykułem o kulturze teatralnej wsi rzeszowskiej i działalności krzewiącej kult dla sceny artystów Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Michał Ślusarenko pisze o problemach działalności kulturalnej w zagłębiu siarkowym, a Anna Kisielewska — o sanockim skansenie. Miesięcznik informuje czytelników o pracy Liceum Techniki Plastycznych w Sędziszowie, o społecznych ogniskach muzycznych, o rzeszowskich szkołach zdrowia ZMW na wsi. Na szczególną uwagę zasługuje propozycja redakcji zorganizowania w Rzeszowie muzeum teatru amatorskiego. Jedynie tu bowiem można się spotkać z próbą zabezpieczenia i uporządkowania zbiorów archiwalnych z tego zakresu.

Wkładka repertuarowa dla zespołów amatorskich zawiera w tym numerze szopkę rzeszowską Władysława Szwał i trzy opowiadania Je-

(Ciąg dalszy ze str. 3)

prawie przyjął moją propozycję, znalazłszy sojusznika w osobie Magoy spróbuję się znowu wykroczyć od roli fundatora.

— Chodźcie do „Baru rybnego”, to przecież zaledwie kilkanaście kroków. Zejdźmy w końcu z tego słońca, zdechnąć można...

Rozuźniłem uszki na ramieniu Magdy, poglaskałem je i popchnąłem Magdę lekko do przodu. Ruszyła niechętnie powłócząc nogami. Metalowe obcasy jej szpilek zagryzały nieprzyjemnie o płyty chodnika.

— Oczywiście, oczywiście, bardzo panią proszę — powiedział Tyczka modulując głos. Z tymi swoimi wytrzeszczonymi oczami wyglądał, jak gdyby go znieczeka wyrwano ze snu.

Kątem oka spojrziałem na Magdę. Czoło miała zmarszczone, coś chyba rozważała, bo wargi jej poruszały się bezgłośnie.

— Pani zapewne również para się literaturą? — zwrócił się do niej Tyczka.

— Nie.
— Pani jest studentką?
— Kucharką.

Tyczka poczerwieniał. Prawdopodobnie odebrał odpowiedź Magdy jako aluzję do dawnej profesji swojej żony. Mrugnąłem do niego. Skinał głową na znak, że pojmuje w czym rzecz i powiedział:

— To chyba fascynujące zajęcie.

— O, tak! — zawołała z przesadnym ożywieniem Magda — zwłaszcza zmywanie. Według mnie kolebka muzyki konkretnej jest właśnie kuchnia.

„Pokój... przecież musisz znaleźć sobie jak najszybciej jakiś pokój... ką, chociażby nore podobną do Dziadkowej... Może Magda wie o czymś takim”.

— Edwin, nie wiesz o jakichś murach?

— Chcesz zmienić?

— Znaleźć. Tamtych już nie mam.

— O!

Tyczka przygarbił się i zerknął

przez ramię za siebie, jak gdyby chciał sprawdzić, czy możliwa jest ucieczka.

— Na... na jedną noc — wyjąkał. Odnosiłem wrażenie, że stojące wokół domy emanują jakąś odpychającą mnie od siebie siłą, usłyszałem głos naciskanych moim palcem dzwonek, ujrzałem oczy przypatrujące mi się przez szczeliny uchylonych drzwi, głowy poruszane gestami przeczenia.

— Na tę noc — powtórzył drębnym głosem Tyczka — Helena na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu...

Przypomniałem sobie twarz Tyczki, jego kulące się plecy, kiedy prowadził mnie przed miesiącem do swego domu, jego coraz wolniejszy krok na schodach, skradający się, plochliwy, przeciągający się wycieranie bulw przed wsadzeniem klucza w zamek.

— O jakich właściwie murach mówicie, co za Helena — zwróciła się do Tyczki Magda.

— Helena to moja żona, a... a mury, to mieszkanie. Roman nie ma...

— Dooobra. Dajmy już temu spokój — powiedziałem. — No, jesteśmy już wreszcie.

Pchnąłem wahadłowe drzwi i przytrzymałem je dłoń. Promienie słońca prześwietliły spódnice Magdy, ujrzałem ostro zarysowane kontury jej ud.

— Nie masz gdzie mieszkać?

Zrobiła kilka kroków i zatrzymała się.

— Chwilowo...

Tyczka zamamrotał coś niezrozumiałe, minął nas i powłócił się w głąb sali.

„Po cholere zaczepiłeś go na ulicy, nie widział cię przecież. Poszlibyście do niej na herbatkę, nażarlibyście... jutro, albo pojutrze znowu byś tam poszedł... mała, cicha przystań... jeżeli masz zamiar pisać powieść, musisz być syty i wyspany... w końcu talent pisarski to nie taka częsta rzecz. Cel... zasada: — cel uświęca środki — ma w tym wypadku naj-silniejszą rację bytu”.



Rys. J. SIENKIEWICZ

„Chciałbyś, ażeby ci powiedziała: — Będę szczęśliwa, jeżeli zechcesz zamieszkać ze mną... chodź — ...Ale to chyba jasne, że jest meżatka... i nawet gdyby jakiś kąt był u jej znajomych, nie powie ci o nim, bo przecież w takie miejsce nie mogłaby do ciebie nigdy... więc po co była ta cała kabotyńska gierka o murach”.

— Dajmy już temu spokój — powiedziałem — i tak...

— I tak nie zrozumie cię w pełni. To miałeś na myśli?

— Nie.

— Jest wolny stolik — zawołał z progu sali Tyczka.

— Widzisz... ja nie potrafię, tak, jak niektórzy moi koledzy, pisać w kawiarni. Mogę pracować wyłącznie w absolutnej samotności i tylko w zamkniętej przestrzeni, w jakimś pokoju, do którego przedmiotów jestem przyzwyczajony. To bardzo komplikuje sprawę. Gdyby nie to... mój Boże. Jest przecież lato. A latem, jeżeli ma się kawalek koca...

Magda wzięła rękę z mojego policzka, cofnęła się o krok i oparła ramieniem o szkło gabloty bufetu. Uniosła dłoń i potarła palcami czoło i oczy, jak gdyby chciała się uwolnić od jakiegoś męczącej myśli. Spód jej pachy wyrzuciło zasnute bielmem oko karpia w galarecie. Ktoś otworzył okno czy też drzwi i znaleźliśmy się w strudze przeciągu. Poczułem intensywny chłód w tym miejscu twarzy, w którym dotknęła jej ręka Magdy.

— Koszmar — szepnęła.

— Co, „koszmar”.

— Cały ten tryb życia, który prowadzicie.

— Co rozumiesz przez „tryb życia, który prowadzicie”? Co ty możesz wiedzieć o tym? O tym, dlaczego i po co? Właśnie: po co.

Skóra karpia była lśniąca, szklista. Magda opuściła rękę i jego oko zniknęło z pola mego widzenia. Ułożone wokół talerza krążki marchwi wyglądały, jak gdyby lada chwila miały z nich trysnąć krew.

— Chodźmy — powiedziałem.

I TY

zrego Popowa w inscenizacji Aleksandry Naborowskiej...

Numer ilustrują liczne i ciekawe zdjęcia związane z Rzeszowszczyzną...

Mimo to czerwcowy numer pisma „Kultura i Ty” popularyzuje nasz region wielostronnie i interesująco...

JOTGIEL

Rozwoj współczesnej cywilizacji, stwarzając milionom ludzi możliwość...

„Rozrywać się” można różnie. Jedni wolą rozwiązywać krzyżówki, szarady i logogryfy...

O spędzaniu wolnego czasu

czynając, a na słuchaniu taśm magnetonowych z nagraniami big-beatu i Ewy Demarczyk...

Technika nie może jednak zatłoczyć wszytkiego. Nieodżałowanej pamięci „Kabaret Starszych Panów” oglądało za każdą premierę...

Uważając, że obecnie w Polsce publikuje się wiele dzięki warunkom, jakie stworzone zostały dla tych wszystkich, którzy chcą pisać...

szą być ludźmi utalentowanymi, zapotrzebowaniu temu poddać nie mogą. Najlepszy zapewne współczesny piosenkarz rosyjski...

I stąd, a nie skądinąd biorą się te nieustające prasowe dyskusje i spory o poziom takiej na przykład piosenki...

Owe spory trwają od lat, a ciągle słyszymy nieporadne „kawalki”. Zapotrzebowanie publiczności i co najważniejsze, bezkrytycyzm odbiorców są silniejsze od wszystkich głosów rozsądku...

Rzeczywiście bowiem sednem sprawy w całym problemie rozrywkowej w Polsce jest, obawiam się, bezkrytycyzm publiczności i społeczna obojętność wobec tandety...

Cyniczni albo tylko po prostu sprytni i obdarzeni „głową do interesów”, ale także często niekompetentni ludzie zajmują się zerowaniem na ludzkiej ułomności...

Równie prawdopodobne jest to, że babka wyprawi na tamten świat, jak to, że wyleczy. Równie prawdopodobne jest to, że piosenkarz Rzeczypospolitej...

Do wiejskiej babki nie chodzi się już inaczej, jak tylko milczkiem, pokatnie, jakby w zastryżeniu. Nikt natomiast nie wstydzi się tego, że w całej muzyce świata zna tylko Mazurkę Dąbrowskiego...

Jakoś tak się dziwnie składa, że bardzo wstydzi się, kiedy mamy wyszargane spodnie lub akcent świadczący o wiejskim pochodzeniu...

Dobrze by jednak było, gdyby ludzie dobitniej zdawali sobie sprawę z wstydu i wstydu tego podziału na kulturalnych i niekulturalnych. A także, gdyby zdawali sobie sprawę z tego, że i rozrywki dzielą się na bardziej i mniej kulturalne...

„Twoje rozrywki świadcza o twojej kulturze” — można by uknąć takie powiedzenie i dość trafnie ujmowałoby ono istotę sprawy.

WITOLD DĄBROWSKI

Kłopoty z muzeami?

Zarówno w Polsce, jak i na całym świecie muzealnictwo rozwija się dynamicznie. Składają się na to dziesiątki różnych, w różnych krajach, przyczyn.

Muzea mają być i są miejscami, w których zarówno przechowywane i chroni skarby kultury, dokumenty historii, jak i udostępnia się je społeczeństwu.

Gdybyśmy opierali się tylko na wysokich liczbach danych statystycznych, gdyby taki rachunek mógł być dla nas wystarczający...

Kiwnąłem głową stojącemu w drzwiach Tycze.

— To ciągle picie — wybuchnęła Magda — chociażby to teraz... to spanie w cudzych łóżkach... ja... ja bym się nigdy nie położyła na cudzej pościeli...

— A na cudzej podłodze?

— Na podłodze czyjejs kuchni albo na betonie, pod drzwiami strychu jakiejś zaciśniętej klatki schodowej, albo w wagonie stojącym na bocznicach. W wagonie chłod przedwitu jest daleko mniej dotkliwy niż nawet na piątym piętrze klatki schodowej. Gdybyś kiedyś...

Dopiero w tej chwili zorientowałem się, że ścisłam ramię Magdy. Rozwarłem palce i cofnąłem rękę. Zrobiło mi się głupio. Wiedziałem, że powinienem jak najszybciej przerwać rozmowę pomiędzy nami milczeniem i ciągle nie mówieniem.

Magda wyszarpnęła siatkę z mej ręki i niemal biegiem rzuciła się ku drzwiom. Pchnęła je. Przez moment widziałem jej nogi przebijające przez mgiełkę prześwietlonej słońcem tkaniny. Drzwi wróciły na dawne miejsce.

— Co jest — sapnął Tyczek. Stał przed mną i wytrzeszczył pragnące pojąć oczy. Poczulem na twarzy jego ciepły, przypalający omdłości oddech. Odsunąłem się nieco.

— A co, co jeszcze miało być oprócz wódki.

— Nie wygłupiaj się, powiedz, o co chodzi.

— Dobrze. Otóż od pewnego czasu marzę o pięknej, tłustej kobiecie lat około trzydziestu.

BOGDAN LOEBL

Fragment powieści pt. „Katarakta”, która ukazuje się w tym roku na łamach Wydawnictwa „Iskry”.

stwierdzono w największych muzeach świata, że masowa wizytacja muzeów w minimalnym stopniu tylko wpływa na podnoszenie się ogólnej kultury artystycznej, plastycznej. Wycieczki złożone ze zmezczonego natłokiem wrażeń turystów...

Niemniej jednak wydaje mi się nieodzowne, by poza ilością sprzedanych biletów wstępu — widzieć jednocześnie prawie całkowicie brak zainteresowania dla dzieł sztuki, zwłaszcza dla tych dzieł, które nie posiadają pewnych pozaartystycznych walorów...

Na marginesie tego powszechnego zjawiska, jak w każdym podobnym wypadku, występują jednakże od czasu do czasu uliczne objawy. Dokładniej o takich dramatycznych wypadkach w tej dziedzinie przeczytać można w książce, która ukazała się ostatnio, wydana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, a przetłumaczona z angielskiego, pt. „Fisjonomia i pseudonim” M. Gardnera...

IGNACY WITZ

Mały felieton

Mój dziadek marzył, że trzy rzeczy są najważniejsze w życiu człowieka: Praca, Miłość, Przyjaźń.

Z pracą nie ma u nas kłopotu. Pracy jest dużo, bezrobotnych u nas nie ma i nie będzie. Bo jeśli nawet pewnego dnia wszystko już będzie zrobione, to się okaże, że trzeba jeszcze to i owo poprawić, bo są techniczne usterki. Zupełnie jak ze stworzeniem świata: tak dawno został stworzony, a wciąż jeszcze nie jest doskonały. Właśnie na ten przykład ze stworzeniem świata powołuje się mój pocciwy krawiec, który od czterdziestu lat szyje spodnie i zawsze jedna nogawka w tych spodniach jest krótsza.

Druga ważna sprawa to miłość. Bywają z nią niekiedy kłopoty, słodkie lub gorzkie, małe lub wielkie. Zależnie od wieku i od odporności psychicznej. Czasem Kochamy bez wzajemności i bez nadziei. Czasem kończy się miłość, a zaczyna szczęśliwe małżeństwo. Czasem Kochamy własną żonę, czasem cudzą. Kochamy rodziców. Kochamy dzieci. Kochamy poważnie i lekomyślnie, wernie lub niewiernie, przez całe życie lub przez jeden dzień. I nigdy żadnych uczuć nie powtarzamy, tak jak nie można powtórzyć niczego co przemija razem z ruchem wskazówek zegarowej.

A przyjaźń? Spotkałem człowieka, którego nie widziałem przez dwadzieścia lat. Był kiedyś moim przyjacielem — teraz patrzyłem na niego nieufnie. Postanowiłem podać go próbie. Poprosiłem, żeby mi pożyczyl tysiąc złotych. Uczył się to bez wahania, choć jest człowiekiem niebogatym. Powiedziałem mu, że jestem bez dachu nad głową, więc on bez wahania zaproponował mi swój dom i wszystko co posiada. I nie powiedział mi nawet złego słowa, kiedy chciałem pocałować jego żonę. Tylko ona nie chciała.

Praca, miłość, przyjaźń — uspaniałe trzy rzeczy, z których składa się radość naszego życia. Trzeba to docenić.

KALMAN SEGAL

● Polemiki ● Dyskusje ● Korespondencje ●

Jeszcze w sprawie artykułu „Wkład do kultury narodowej”

Trzeba stwierdzić, że obecnie w Polsce publikuje się wiele dzięki warunkom, jakie stworzone zostały dla tych wszystkich, którzy chcą pisać i mają coś istotnego do przekazania innym za pośrednictwem słowa drukowanego.

W innym miejscu tego listu F. Kotuła w sposób zakamuflowany impetuje, że „mylnie” podane jest moim redaktorsko dzieła pt. „Pięć wieków Rzeszowa”...

Inne pisarskie pozycje F. Kotuły, tak wymagające w stosunku do innych, często nie są wolne od poważnych błędów i błędnych hipotez. Tak np. w zbiorowym opracowaniu broszury „Rzeszowski w dobie Wiosny Ludów” zamieszczył artykuł pt. „Walka o ziemie” i tu (na str. 78) usadowił wieś Biała (około Tyczyna) — „około 4 km na północ od Rzeszowa”, podczas gdy Tyczeń i Biała, jak ogólnie wiadomo, leżą na południowy wschód od Rzeszowa. Ta...

Do napisania niniejszej korespondencji do „Widnokragu”, tego naszego poezyjnego czasopisma, skłoniło mnie m. in. zaznajomienie się z tą interesującą pozycją literatury problemowo-naukowej.

Nie pierwszy to raz swoista metoda złośliwej oceny cudzych prac i z żalosną skargą na trudności, z którymi boryka się przy publikowaniu własnych, napisał F. Kotuła list, drukowany w „Widnokragu” nr 30 w związku z artykułem A. Zygi umieszczonym również w „Widnokragu” nr 29 pt. „Wkład do kultury narodowej”. Otóż być może A. Zyga, który zresztą nie mieścił się w woj. rzeszowskim, przez przeczenie pomieszał dwa nazwiska przy dużej ich fonetycznej sibiłności, ale nie upoważniało to jeszcze F. Kotuły do apodyktycznego twierdzenia, że Władysław Kunisz „z piarstwem nie ma nic wspólnego”, za bowiem oczywiście dowody na to, iż wymieniony, od szeregu lat przez Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie zamieszkał w „Roczniku” tego Towarzystwa kilka artykułów, a ponadto jest redaktorem jednego z najbliższych numerów „Rocznika”.

W tym miejscu tego listu F. Kotuła w sposób zakamuflowany impetuje, że „mylnie” podane jest moim redaktorsko dzieła pt. „Pięć wieków Rzeszowa”, czyniąc to wbrew prawdzie dopiero po upływie 8 lat od ukazania się tej książki. Wobec tego trzeba i nam cofnąć się o kilka lat i przypomnieć, jak oceniał wkład tego autora jeden z poważnych naukowców historyków, a mianowicie Jerzy Tonoliski z Poznania w rozprawie pt. „Badania nad dziejami miast w Polsce” (zamieszczonej w „Studiach i materiałach do dziejów Wielkopolski i Pomorza” t. VI, z. 2). Stwierdził on tam (na str. 36 i in.), co następuje: „Pięć wieków Rzeszowa jest zbiorom zaklęto o przeszłości tego miasta, nie obrazujących w sposób bardziej estetyczny jego historii. Książka w niektórych partiach, pióra F. Kotuły, nie jest wolna od przykładów prawdziwego grafomanstwa. Tenże autor, pisząc o obwarowaniu miasta, stwierdza na przykład między innymi: „Krowy dla wałów nie były szkodliwe, ieno kozy i świnie. Widać, że krowy na strone wałów wdrapwały się nie motły, zaś dla kóz wsianka była prawdziwą atrakcją”. Dawny typ wieśniana monografii dawał tu żnąć o sobie” — kończy Tonoliski.

Inne pisarskie pozycje F. Kotuły, tak wymagające w stosunku do innych, często nie są wolne od poważnych błędów i błędnych hipotez. Tak np. w zbiorowym opracowaniu broszury „Rzeszowski w dobie Wiosny Ludów” zamieszczył artykuł pt. „Walka o ziemie” i tu (na str. 78) usadowił wieś Biała (około Tyczyna) — „około 4 km na północ od Rzeszowa”, podczas gdy Tyczeń i Biała, jak ogólnie wiadomo, leżą na południowy wschód od Rzeszowa. Ta...

ka nieścisłość może poważnie niecierpić łować czytelnika.

Alba w „Wypisach i tekstach źródłowych do historii regionalnej woj. rzeszowskiej dla klasy VIII—IX”, wydanych w 1958 r. przez WODKO, znalazł się (na str. 30) przyjęty w dobrej wierze, podany i objaśniony przez F. Kotułę tekst źródłowy zatytułowany przez niego — „List słowackich i polskich Husytów do niemieckich mieszczan w Bardejowie”. Miał to być według niego dowód o współdziałaniu słowackich i polskich Husytów w XV wieku na południowym pograniczu Polski, podczas gdy w oryginale jest to wywód z historii, nie ma wcale o tym mowy. Ale autor objaśnienia, na poparcie swego twierdzenia wprowadził nie stosowaną w nauce historycznej własną interpolację w tekście źródłowym dodając tam w nawiasach kilka słów m. in. („zwiazek husycki”), a nie wspominając zupełnie o tym, że ten sam tekst z inna, bliższą zresztą prawdzie, interpretacją i zwołaniem kach heskieckich opublikował już w 1871 r. tu w Rzeszowie, drukiem i nakładem J. A. Pelara, rzeszowski rodak, Szczyński Morawski w dzieleku pt. „Świątek boży i życie na nim” (str. 221—222).

A może jeszcze jeden przykład. F. Kotuła podemu nie raz zagadnienia z rozmatywał dziedzin nauki, a więc z archeologii, historii, etnografii, socjologii i in., które na obecnym etapie rozwoju wiedzy wymagają specjalistycznych studiów i przygotowania. W tych różnych rodzajach dociekaniach publikuje czasem jakieś zagadnienia, przemielczając istniejące już na temat literaturę, lub też nie usiłując w ogóle sprawdzić pochodzenia zebranych materiałów. Tak np. w publikacji „Z Sandomierskiej Puszczy” (na str. 254) cytowana tam przez niego piosenka „babka” potraktowana jest jakoby nieustaloną proweniencją, podczas gdy badaczom polskiej literatury ludowej znana jest ona Bobrowej z utworu science-fiction „Chłopi zrytostacji”, napisanego przez popularnego autora sztuk o tematyce ludowej, Władysława Ludwika Anceja, kilkakrotnie wydawanych drukiem od 1850 roku, a wśród tych wydań jedno z 1924 r. z naukowym wstępem wybitnego etnologa, Jana Stanisława Bystrona, których to pisarzy dzieła powinny być znane badaczom, zajmującym się folklorem.

Tych kilka uwag podkrywała mi konieczność obrony prawdy i troska o nieodwzajemnienie w rzeczywistości badań naukowych, spokojne, rozsądne, bez inwektyw omawianie problematyki oraz pragnienie rzeczowej wymiany doświadczeń dla dalszego rozwoju pracy naukowej w naszym przemyśle województwa.

FRANCISZEK BŁONSKI

Let ten drukujemy na zasadzie głosu polemicznego.

Redakcja

Na naszych ekranach



Fot. „Ameryka”

„Ta roześmiana czarująca dziewczyna, która beztrudnie siedzi na pływalni należącej do jej posiadłości, to Doris Day, jedna z najbardziej znanych aktorek na świecie. W codziennym życiu Doris jest również radosna i uroczą jak w rolach, które odtwarza na ekranie i tak samo lubi lody z kremem, jak na niejednym filmie. Bezpośrednia i serdeczna Doris Day wolnie chwile od nagrywania spędza w zaciszu domowym w Beverly Hills w pobliżu Hollywood, gdzie mieszka z mężem Martym Melcherem i synem Terryem”.

Zacytowana tu charakterystyka Doris Day, opublikowana przez czasopismo „Ameryka”, uderza nie tylko swoją zwyczajnością, ale także umiarkowaną, delikatną propagandą niewątpliwie lansowaną przez agenta reklamowego tej gwiazdy filmowej. „Roześmiana, czarująca... radosna i uroczą... bezpośrednia i serdeczna...” i to wszystko raptem w trzech zdaniach!

Niemniej cechy te rzeczywiście charakterystykują postacie kreowane przez Doris Day na ekranie i choć słowa „jedna z najbardziej znanych aktorek na świecie” w odniesieniu do niej są trochę przesadne, to jednak w Stanach Zjednoczonych popularność jej jest rzeczywiście ogromna. Ponieważ w USA wszystko mierzy się pieniędzmi, więc także powodzenie Doris Day określane

jest jej obecnością na liście bardziej dochodowych gwiazd Hollywoodu. Na liście tej od roku 1959 uplasowała się w pierwszej dziesiątce, w ciągu zaś pięciu lat — w 1960, 1962, 1963, 1964 i 1965 r. była najbardziej kasową aktorką w USA.

Co spowodowało taki sukces i pozostawienie w polu wielu młodszych, i co tu dużo mówić, ładniejszych rywalek?

Pani Kappelhof (prawdziwe nazwisko Doris) przed kamerą stanęła dość późno, bo w wieku 25 lat. Jej marzeniem od dziecka było zostać tancerką, jednak skomplikowane złamanie nogi rychło przekreśliło te nadzieje. Postanowiła więc zostać piosenkarką i osiąga na tym polu pewne sukcesy, jednak występ w filmie wytwórni Warner Brothers „Romance on the High Seas” zmienia zasadniczo dalszą drogę jej kariery. Śpiewa nadeł, ale głównie na ekranie. Amerykanie, a zwłaszcza Amerykanki tłumnie wala na jej filmy.

Magnesem nie jest bynajmniej to, że Doris Day stylizuje się na gwiazdę w wielkim, hollywoodzkim stylu. Przeciwnie, nie nosi ona olśniewających toalet, nie odślania pleców, ni biustu, ubiera się ze smakiem, ale skromnie. Często gra w fartuszkach gospodyni, nosi spodnie, w jej strojach przeważają swetry. Także jej zachowanie nie ma nic z gwiazdorstwa. Jest pogodna, cierpliwa, lubi się pośmiać i pozwala śmiać się z siebie. Jest wzorem i dla mężczyzn i dla kobiet amerykańskich. Pierwszym ukazuje idealną żonę spokojnej, koleżeńskiej, troskliwej i wiernej, drugim zaś udowadnia, że każda z nich ma szansę w życiu, że zależy to tylko od stylu życia, że metodami jej bohaterki odniosą zwycięstwo nad każdym mężczyzną.

Stworzony przez nią typ bohaterki filmowej — niezależnej, energicznej, pełnej poczucia humoru, dojrzałej t... cnotliwej ogromnie przypaść do gustu amerykańskiemu społeczeństwu. Jej perypetie, śmiech i miłosne kłopoty bawią miliony widzów. W dodatku reklama wzmacnia popularność aktorki, twierdząc (vide cytaty z „Ameryki”), że w życiu prywatnym jest ona taka sama jak na ekranie: nie pije, nie pali, wczesnie kładzie się spać, uprawia gimnastykę, jest punktualna, zdyscyplinowana, uwielbia lody i sodyczki.

Trzeba tu dodać, że jest także niezwykle pracowita, umie obliczyć i wykorzystać swoje możliwości i szanse. Doris Day gra głównie w komediach i to przeważnie muzycznych. Filmy, obliczone na pogodną rozrywkę, są raczej przeciętne. Tytuły niektórych spośród nich mówią same za siebie: „Herbatka we dwójce”, „Kochaj mnie lub odejść”, „Człowiek, który wie za wiele” (ze słynnym przebojem „Que sera, sera...”), „Tuneł miłości”, „Kochanku wróć!”

Największe powodzenie miały jej filmy z Garym Grantem oraz Rockiem Hudsonem. Z tym ostatnim jako partnerem widzieliśmy ją przed trzema laty w „Telefonie towarzyskim”, a wkrótce zobaczymy w komedii „Nie przysyłaj mi kwiatów”.

„To jest równa dziewczyna, dziewczyna z następnych drzwi, all right — powiedział jeden z jej hollywoodzkich admiraatorów. I dodał: — Z następnych drzwi do banku”.

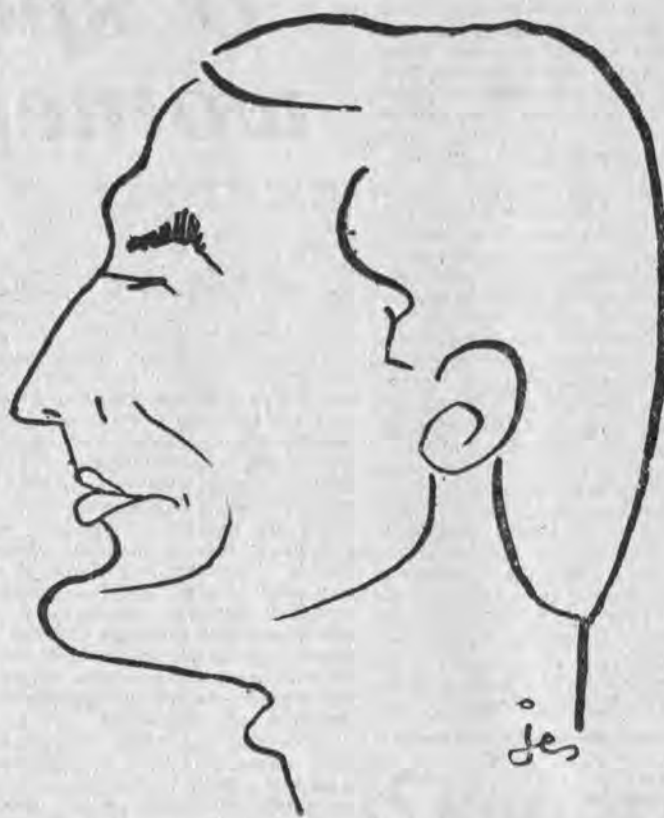
(w. s.)

dowcipach i w wierszu „Dziś Polski Tysiąclecie”. Nie będziemy drukować.

F. C. Przemysł: Wiersze, które otrzymałyśmy są dość interesujące. Może nie wszystko w nich zasługuje na uwagę, zdarzają się bowiem niepoprawności, ale sporo obrazów i zwrotów nam się spodobało. Np. „gdzie tylko stąpa wiatr po rozgrzanej strunie światła...”, „na dwóch czarnych włosach powiekami ulóżysz zapach bzu” lub „noc różowa od nadmiaru światła z rąk”. Ale nie należy poprzestawać na etiudach i impresjach erotycznych, choć to niejako szkoła liryki. Może warto próbować innych form wypowiedzi.

J. S. Zagórz: Wiersze zachowujemy w tece do ewentualnego wykorzystania.

K. S. Rzeszów: „Życie” i „Zmierzyć” nie zasługują, niestety, na ocenę pozytywną. Są to wiersze wtórne, ulegające wzorom przebrzmiałych konwencji poetyckich. Banalem trąca tu niektóre sformułowania i skojarzenia (cień się waleśa błąd, tajemny duch zdrady, ogniki cichych myśli, płaczące echa itd.). To są wszystkie odbicia kiepskich wierszy z okresu Młodej Polski, gdyż dobrzy poeci z tego okresu również ich unikali.



TADEUSZ PIEKŁO — poeta

Rys. J. SIENKIEWICZ

Książka o teatrach przemyskich

Na ogół wszyscy wiemy, że Przemysł jest miastem o dużej kulturze teatralnej i chyba najstarszym w Polsce ośrodkiem amatorskiego ruchu teatralnego. Wiemy także, że najstarsze z przemyskich stowarzyszeń tego ruchu, „Fredreum”, ma za sobą osiemdziesiąt-kilka lat nieprzerwanej pracy, że wychowało kilka pokoleń fanatycznych wielbicieli Melpomeny i dobrze zasłużyło się kulturze narodowej.

Ale już bardzo wąskie grono teatrologów wie, iż próbowano w tym mieście kilkakrotnie organizować teatr zawodowy, że przez deski sceniczne „Fredreum” przewinęło się wielu znakomitych i w całym kraju później znanych aktorów, którzy w Przemysłu debiutowali, jak np. Barbara Kostrzewska i Kazimierz Opaliński, że honorowym członkiem „Fredreum” i jego zaprzyjacielem był Roman Zelazowski, że wreszcie u schyłku ubiegłego stulecia przemyskie oglądali w sobie zespoły teatralne niemieckie, czeskie a nawet japońskie.

O tych, czasem sensacyjnych tajnikach przemyskiego życia teatralnego szeroko opowiada nam książka Zygmunta Felczyńskiego „Fredreum i inne teatry przemyskie”, która niedawno pojawiła się w księgarniach. Jest to pierwsza, gruntownie udokumentowana monografia ruchu teatralnego w Przemysłu i chyba jedna z pierwszych tego typu w Polsce omawiająca dzieje kultury teatralnej w prowincjonalnym mieście.

Zygmunt Felczyński, długoletni działacz w amatorskim ruchu teatralnym i również długoletni członek „Fredreum” buduje swój obraz na szerokim tle historycznym. Rozpoczyna od ogólnych dziejów miasta, następnie sięga do tradycji teatralnych z XVIII w. omawiając działalność jezuickiego teatru szkolnego w Przemysłu, wreszcie przystępuje do historii pierwszych polskich zespołów teatralnych w II połowie XIX wieku. Było ich bowiem w Przemysłu kilka i to świadczą wymownie o zainteresowaniach teatralnych tego miasta. Przemyskie Towarzystwo Dramatyczne, którego kontynuatorem jest „Fredreum”, Towarzystwo Muzyczne, które wystawiało operetki i wodeville, zespół dramatyczny przy „Sokole”, amatorski teatr przy Tow. Rekodzielników „Gwiazda” czy scena przy Tow. im. T. Kościuszki, to tylko niektóre z zespołów.

Obok tego zasilają Przemysł bardzo częste występy gościnne teatru lwowskiego i krakowskiego z Bednarską, Kamińskim, Ireną Solką, Wandą Siemaszkową, Adolfiną Zimajer, Bolesławem Leszczyńskim

czy Karolem Adwentowiczem. I tak np. w roku 1911 Przemysł gościł 10 razy zawodowe teatry u siebie, w roku 1912 — 13 razy i w roku 1913 — również 10 razy. Autor skrupulatnie również odnotowuje próby zakładania w mieście stałego teatru zawodowego. Wspomina zespół „Viribus Unitis” żyjący kilka miesięcy w 1913 r., następnie „Teatr Polski” pod dyrekcją Cudnowskiego (działał około roku wystawiając 50 sztuk), a po I wojnie światowej „Rozmaitości” i „Teatr Powszechny” o charakterze również efemerydalnym. Wszystkie próby skończyły się jednak niepowodzeniem. Brakło podstaw finansowych dla egzystencji stałego teatru, niewystarczające okazało się poparcie społeczeństwa.

Szczególną zasługą autora monografii jest niezwykle staranna dokumentacja książki. Iż trzeba było pracowitości by zestawić repertuar teatralny prawie wszystkich zespołów miejscowych i przyjezdnych od XVIII w., zebrać nazwiska wszystkich członków „Fredreum” od początku istnienia, wydobyć afisze, kopie publikacji prasowych, zdjęcia scen z granych sztuk oraz opracować szczegółową bibliografię do każdego rozdziału. Dzięki temu „Fredreum i teatry przemyskie” na pewno będzie nieocenionym materiałem dla twórcy monografii polskiego ruchu amatorskiego. Ale ta skrupulatność, dokładność i drobiazgowość nie zawsze wyszła autorowi na dobre. Sporo w książce materiału zbitecznego, niezbyt ściśle związanego z istotą sprawy — zbyt dużo zwłaszcza dygresji ogólnych o znaczeniu Przemysłu w dziejach i kulturze kraju. Dużo również drobiazgowych opisów intryzek, konfliktów, qasów i walnych zebrań towarzystw, a ten nadmiar szczegółów szkodzi konstrukcji monografii. Stało się tak może dlatego, że braku Felczyńskiemu dystansu do tematu. Zbyt żywo jest zaangażowany w dzieje „Fredreum” jako jeden z jego czynnych działaczy, by mógł się zdobyć na obiektywizm bezstronnego badacza i historyka. Stąd niektóre strony książki przypominają kronikę towarzyską elity kulturalnej miasta. Może zresztą tak właśnie tworzy się historia i może przyszły historyk teatrów amatorskich więcej skorzysta ze stronniczych czasów sądów jego pracy niż z suchego zestawienia faktów?

Mimo tych i wszystkich innych ewentualnych zarzutów, mimo nieco dyletanckiego charakteru niektórych opinii o sprawach artystycznych teatru — monografia Zygmunta Felczyńskiego zasługuje na żywą uwagę miłośników Melpomeny i stanowi cenny wkład w pracę nad badaniem dziejów kultury teatralnej w Polsce.

JAN GRYGIEL



Hans Helmut Kirst: KAMRACI. Wyd. 2. Przekł. Jacek Fruehling. T. 1-2. W-wa. MON, s. 274 + 266, 20 zł.

Akcja powieści rozgrywa się współcześnie w NRF. Bohaterami jej są zwykli Niemcy: przemysłowiec hotelarz, adwokat, kierownik stacji benzynowej, przedsiębiorca pogrzebowy i kierowca taksówki. Ludzi tych poacyła wojna, i wspólna zbrodnia, o której chcą zapomnieć. Akcja jak w powieści kryminalnej, bo przesłano wraca... Ciekawie zarysowane tło obyczajowe, dobra charakterystyka postaci.

Witold Arębski: W POGONI ZA SZMARAGDOWĄ GWIAZDĄ. Wyd. 2. Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 876, cena 45 zł.

Akcja książki toczy się na przełomie XIX i XX wieku w Indochinach. Opisane są tu przygody dwóch bohaterów, którzy poszukują ukradzionej im dziewczyny. Stąd dużo napięcia akcji i opisów egzotycznego krajobrazu. Książka dla starszej młodzieży i dorosłych.

Jerzy Edigey: WAGON POCZTOWY GM 36532. W-wa 1966, Iskry, s. 177, cena 17 zł.

Kryminał z serii „Złotego kluczyka”, którego akcja rozgrywa się między Warszawą a Łodzią. Jego treścią jest rabunek cennych przesyłek z wagonu pocztowego. Kto był sprawcą... dowiemy się z kart powieści.

Janusz Meissner: TRZY DIAMENTY. Wyd. 3. W-wa 1966, Iskry, s. 220, cena 18 zł.

Poprawione i skrócone wydanie powieści o tematyce lotniczej znanego i cenionego pisarza, autora niezapomnianej „Szkoly orla”, „Zadania Genowfy” i „L-jak Lucy”.

Witold Wirpsza: MORDERCA. Poznań. 1966, Wyd. Poznańskie, s. 182, cena 15 zł.

Znany poeta średniego pokolenia prezentuje czytelnikom tomik opowiadań i utworów dramatycznych.

CZTERNASIE OPOWIADAŃ CZESKICH I SŁOWACKICH. Wybór i słowo wstępne Edwarda Madanego. W-wa 1966, Iskry, s. 356, cena 17 zł.

Tom zawiera opowiadania młodych, nie zawsze wielkich, często stałem literackim prozoków naszych południowych sąsiadów. W tych krótkich formach dominują obrazy środowiskowe, pokazane są portrety młodego, współczesnego pokolenia.

MŁODZI STĄD. Wybór Anny Pawłowskiej i Jerzego Felczyńskiego. W-wa 1966, Iskry, s. 440, cena 25 zł.

Jest to wybór reportaży drukowanych na łamach „Sztandaru Młodych” w latach 1950-1965. Traktują o ludziach, o budowlach największych, o przemysle, o miasteczku, o wsi, o obyczajach i o różnych sprawach — dużych i małych. Wśród autorów nazwiska znanych polskich reportażystów i literatów.

Zygmunt Broniarek: SZCZEBLE DO BIAŁEGO DOMU. W-wa 1966, KiW, s. 252, cena 18 zł.

Dziennikarz specjalizujący się w sprawach amerykańskich prezentuje szereg faktów dotyczących kulis wyborów prezydenckich w USA, sylwetek znanych amerykańskich polityków, przykładów popularyzacji polityki i finansjery.

POPULARNONAUKOWE

Marceli Kosmas: NA TROPACH BOHATERÓW TRYLOGIA. W-wa 1966, KiW, s. 361, cena 10 zł.

Pozycja wydana w serii „Światowida” konfrontuje fakty podane przez Sienkiewicza w tym tak pozycywnym cyklu powieściowym z dzisiejszym stanem wiedzy o faktach historycznych i życiu Polaków w XVII wieku. Bardzo interesująca pozycja.

M. G. Ruten: POWSTANIE ŻYCIA NA ZIEMI A ŚWIADECTWA GEOLOGICZNE. Tłum. M. Jurecki. W-wa 1966, PWN, s. 166, cena 10 zł.

W serii „Omega” praca profesora geologii w Utrechcie omawia jeden z podstawowych problemów, jakimi interesuje się współczesna ludzkość.

ROZMOWY O GOSPODARCE. Polska i świat. W-wa 1966, KiW, s. 270, cena 15 zł.

Pozycja zawiera następujące prace: Artur Bodnar — O RADZIE WZAJEMNEJ POMOCY GOSPODARCZEJ, Stanisław Albinowski — EUROPEJSKA WSPÓLNOTA GOSPODARCZA, Jerzy Kleer — TRZECI ŚWIAT A KAPITALIZM I SOCJALIZM, Daniel Passent — WSPÓLZAWADNICTWO WSCHÓD — ZACHÓD. Liczne tabele i wykresy.

Wanda Ostrowska: POTRZEBNA KREW. W-wa 1966, PZWL, s. 71, cena 4 zł.

Autorka omawia w przystępny sposób organizację Szukaj Krwi w Polsce, znaczenie krwi w leczeniu, podaje zarys historii leczenia krwi.

WIEŚ TWORZĄCA. II. Antologia współczesnej poezji chińskiej. Wybór, wstęp oprac. E. R. Rosiakowa. Lublin 1966, Wyd. Lubelskie, s. 320, cena 12 zł.

Antologia literatury ludowej, na którą złożyło się ponad 250 wierszy i gwałtów twórców pochodzących z województw: lubelskiego, krakowskiego, kieleckiego, poznańskiego i rzeszowskiego. Z tym ostatnim związane są nazwiska: Stanisława Harli, Józefa Kapuścińskiego i Walentego Kunysza.



„Zet”: Wiersze świadczą o kulturze literackiej, wyobraźni i umiejętności obrazowania poetyckiego. Zachęcamy do kontynuowania prób a wiersze nadesłane zachowujemy w tece do ewentualnej publikacji.

J. S. Ropczyce: Fragment powieści „Przełot żurawi” niestety nie nadaje się do druku. Język tej prozy jest pełen fałszywej poetyckości, zbitecznych upiększeń — brak naturalności i prostoty stylu. Obraz wsi jest w tym fragmencie anachroniczny — tak wyglądała wieś w czasach i twórczości Kraszewskiego. Niewiele chyba ma Pan do powiedzenia w prozie.

St. K. Jastkowiec: pow. Nisko — Wiersze są słabe — nie nadają się do publikacji. Sporo w nich usterek językowych, błędów gramatycznych, naiwnych sformułowań. Brak im także oryginalności i jakiegoś indywidualnego wyrazu.

Wi. Sz. Straszyle: Niestety, nie dopatryliśmy się wartości artystycznych w pańskich wierszowanych